Nr. 8. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1891. Rok XIV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs. 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Zdolności umysłowe u zwierząt

przez

Kazimierza br. Wodzickiego.

(Z pozostałych rękopisów).

II.

Pamiętam wiele bocianów i żurawi, wychowanych po dworach lub w czasie przednowku przytulonych i karmionych, które pielgrzymowały jak inne, a na wiosnę wracały, wpuszczały się, obchodziły wszystkie kąty, z ludźmi się witały i po kilku dniach znowu znikały, widocznie dążąc już samotnie za towarzyszami. Tu każdy widzieć musi uczucie wdzięczności, dowód pamięci i postanowienie wstąpienia w progi dobroczyńców, aby im raz jeszcze podziękować.

Nie szukając po obcych źródłach, nie korzystając z przepisywanych wiadomości, z notatek mych własnych dostarczę dosyć dowodów, że zwierzę czuje, myśli, że się kieruje pamięcią, rozwagą, że są w nim zdolności rodzajowi właściwe, lecz i zdolności zdumiewające, okazujące się w osobnikach. Rozum i uczucie w psach tylokrotnie opisanymi były, że tomy i księgozbiory by opisami tymi napełnić można. Przystępne to zwierzę do badania dla ogółu, więc z namysłem wstrzymam się od opowiadania zdarzeń, których psy były przedmiotem, a nekrologiem jednego tylko zakończę to badanie moralnej strony zwierząt, zwracając bez przerwy uwagę na wyjątkowe uposażenia indywidualności.

Co w przyrodzie zachwyca, to ta niczem niezachwiana organizacya, oparta na posłuszeństwie. *Le roi est mort vive le roi*; zginął naczelnik, w tej chwili zjawia się nowy, widocznie siłą i rozumem odznaczający się, obejmuje komendę, przyrzeka obronę i opiekę, w zamian otrzymuje uległość i zaufanie. Często w stadzie słabszy od innych osobnik uznany zostaje za dyktatora. Ile razy badałem te zmiany, tyle razy przypominał mi się wiekopomny Deak, wskrzesiciel narodu węgierskiego. Mam w żywej pamięci z mych karpackich wycieczek Węgrów, którzy wniosków żadnych nie stawiali, zdania nie objawiali, dyskusyi nie przyjmowali, mówiąc: na co nam głowę łamać? my mamy Deaka, on za nas myśli i co potrzeba, wyrobi i otrzyma.

W stadach zwierząt na wolności to przodowanie widoczne nawet w bydle i w koniach, w ptakach stadnych toż samo. Członkowie nie troszczą się i nie niepokoją, nie śledzą i nie wypatrują; ich uwaga zwrócona na naczelnika i wartę, od nich zależy zachowanie się. Tu niema ukrytego życia, spisków, szkalowań i starć; stosunek spoczywa na sile, rozumie i zaufaniu, i to zapewnia bezpieczeństwo. Przy groźą-

cem od wilków niebezpieczeństwie, stado się zaraz organizuje, porządkuje i do walki przysposabia; młodzież do środka, konie głowami do siebie, tworząc koło zwarte, z kopytami wolnymi, jako jedyną bronią konia. Bydło przeciwnie, ogonami do środka, a z nadstawionymi rogami na zewnątrz. Widziałem stado dzików w podobnej obronie organizujące się z szybkością nadzwyczajną. Na tyle stada umieszczone były warchlaki, w środku młodzież i samury, odyńce i wycinki na froncie. Dziki odważnie i szybkim ruchem szarżują, a zwrot ich i uszykowanie pierwotne w jednej chwili uskutecznione. A co tam ryku, kwiku, mruczenia i dziwnych głosów, dowodzących szybkości komendy i sprężystości wykonania! Mogłyby im pikelhauby zręczności i akuratności pozazdrościć!

My nie dosyć w przyrodzie żyjemy, my ją wyzyskujemy bez zwrotu, zżyć się znią nie umiemy, dobrych przykładów nie naśladujemy i nie uczymy się z tej księgi bez granic, w którejbyśmy tyle wiedzy zdobyć mogli, a przedewszystkiem nauczyć się tej trwałej, niczem nie naruszonej organizacyi, wytwarzającej potężną i niezwalczoną siłę.

Jeżeli zdolności umysłowe domowych zwierząt nie są tak rozwinięte, jakby być mogły, to nasza wina, bo my im się nie dosyć oddajemy, nie podnosimy ich ku sobie, my im nie udzielamy przystępnej wiedzy. Z pewnością bydło u nas najmniej posiada władz umysłowych do studyowania, i jakże może być inaczej, skoro nie mamy dla niego nic innego, jak kij, batóg i przekleństwo, a wiemy, że w srogiej niewoli władze umysłowe się nie rozwijają. To też spostrzegłem w Szwajcaryi i w Holandyi krowy łagodniejszego charakteru i pojmujące znaczenie mowy ludzkiej, bo tam z nimi ludzie od dzieciństwa obcują. Lecz i w tym wielkiem dziale widzimy dzikość i łagodność, pracowitość i próżniactwo, odrębność charakterów i krocie wyjątków, obdarzonych poszczególnymi przymiotami i wadami, oraz stopniami rozwoju umysłowego.

Koń u Araba ma uczucie więcej wykształcone niż u nas i przymioty umysłowe wybitniejsze, bo Arab z nim żyje. Konie w cyrkach okazują pamięć i zdolności, wprowadzające nas w zdumienie, chociaż i tam trafia się ograniczenie i głupota. Nie to nas dziwić powinno, czemu pomaga batożek i cugle, lecz to, co koń czyni z pamięci. Otóż te stopnie pracy umysłowej i pamięci wzbudzają chęć badania, bo one są własnością osobników. Wiele tu koni przerzucić wypada, zanim natrafi się na pojęcie i na spamiętanie nauczonej sztuki, a ileż jest takich, którym jak nieukom codzień tę samą lekcyę powtarzać trzeba, gdyż wczoraj nauczoną przez noc zapomniały.

Wątpliwości nie podpada, że zdolności w części z krwi pochodzą. Rozum, łagodność, uczucie i pamięć u koni krwi wschodnich, więcej są rozwinięte, niż u innych; pierwsze są myślącymi stworzeniami, drugie doskonałymi maszynami, byle dobrze użytymi.

Pamiętam dziś jeszcze konie z widoczną pracą umysłową i z wysoko rozwiniętą pamięcią, n. p. konie, trafiające po czterech latach nieobecności po bezdrożach do stajni, gdzie stały przez kilka miesięcy, również konie, prowadzące mnie bez śladu po szerokiem wybrzeżu piaszczystem w nocy ciemnej przy groźnej burzy do promu, na którym się dwa razy w życiu przewoziły. Ileż to razy, gdym z psami polował na grubego zwierza, św. Hubert mnie zapędził w nieznane mi lasy i noc zaćmiła mi drogi, a wtedy konie częstokroć prowadziły mnie, prując gąszcze, do domu. Bywały znowu konie bez żadnego zmysłu oryentacyjnego, błądzące na równi ze mną; pocisnięte, co kilka kroków stawały, jak gdyby mi mówiły, że nie wiedzą, gdzie iść po lesie. W końcu bywały i konie, noszące mnie w zupełnie przeciwną stronę od miejsca mego zamieszkania.

Posiadałem deresza hucuła z pod Żabiego w Karpatach. Ten mi na całe życie pozostawił zagadkę nieodgadniętą. Czuł on mianowicie pod śniegiem, gdzie były doły, rowy i przyśnieżone kłody, nigdy nie wpadł do jamy, nigdy nie utknął i nie przewrócił się w najstromszych górach. Jak sobie można wyjaśnić ten zmysł odgadujący przyśnieżone głębie i zwaliska? Posiadałem znaczną liczbę koni do polowania i huculskich, wszakże, z tą nieoszacowaną cnotą, jednego tylko miałem deresza.

Konie jedne na równi z nami roznamiętniają się w polowaniu, inne pozostają zimne i obojętne; pierwsze w lasach i na garbatym terenie stają się nawet niebezpiecznymi w pogoni.

Posiadałem nader rozumnego konia, zdobytego na czerkiesie w roku 1831; ten upatrywał doskonale zające, i gdy którego zobaczył, a ja ku niemu nie podjechałem, zwracał do mnie głowę i dawał mi do zrozumienia, że zając siedzi, a gdy zając ruszył, koń za nim, i nie było siły ludzkiej, którąby go zatrzymała aż do chwili, dopóki charty zająca nie złapały. Miałem i drugiego, upatrującego zające, lecz dosyć obojętnego; gdy się czerkies rozpierał i z miejsca ruszyć nie chciał dopóki zając nie pomknął, tamten opuszczał upatrzonego.

Bywają konie odważne i płochliwe, ostrożne i zaślepione do tego stopnia, że mi jednego odyniec przewrócił, tak ostro na niego natarł. Ta różność charakterów, to szerokie pole do badania, te sympatye i antypatye z ludźmi i z końmi: u jednych łagodność, powolność, przyjmowanie kary z rezygnacyą, u drugich zuchwałość, krnąbrność, upór i złość. Są konie mściwe, co nieraz niestety sprawdzić musiałem, usiłujące mnie z siodła zedrzeć o pnie drzew i o mury, wystawiające się na niebezpieczeństwo własne, byle dokuczyć. Tę mściwość sprawdziłem nieraz, gdyż niekiedy trzeciego dnia i później koń zemną skoczył w rów lub ku drzewu, a w końcu począł unosić, starając się o separacyą ze mną. Dalsze szczegóły zapełniłyby wiele stronic niepotrzebnie, przypuszczam bowiem, że przy badawczem zastanowieniu, każdy przyzna koniowi pracę umysłową, pamięć i uczucie, przyzna stopnie zdolności i rozwoju umysłowego, w końcu odmiany liczne charakterów. Tu już nie można nakryć tajemnicy instynktem i przestać badać.

Jeżeli zwierzętom przyznać musimy pracę umysłową, pamięć, uczucie i moc wyrabiania planów, projektów, doskonalenia się w złem i w dobrem, wady i przymioty, cnoty i zbrodnie, to musimy przypuścić, że Stwórca uposażył stworzenia, w szczególności wyższego rzędu, jakąś iskrą oświecającą, stopniem jakiegoś ducha.

Uczucie u zwierząt udowodnione, również stopniowanie widoczne u rodzajów, a w szczególności u osobników. Ssaki i ptaki pozostają dzikimi i wrogo się zachowują w stosunku do człowieka, nie przyjmują wykształcenia, i pomimo opieki z jego strony, bywają niebezpiecznymi. I tak, jedne ranione uznają usługę im oddaną, inne mszczą się przypuszczając dręczenie, jedne pamiętają doznaną ulgę i okazują wdzięczność, drugie stronią od człowieka. Stopnie przywiązania liczne, a niektóre trwające przez lata, niekiedy do śmierci. W równym rozwoju bywa uczucie i praca umysłowa czyli rozum, wszakże wyższy stopień uważać musimy za wyjątkowy, i nie będący właściwością wszystkich jednostek gatunku, a może tylko nie dosyć przez nas wykształcony.

Wydra Paska, niedźwiedź Radziwiłła, służący spokojnie przy stole, lis, wyżeł mego sąsiada proboszcza, pająk Silvii Pelico, wspomnienia o niektórych sokołach, słoniach, kaczor znanej mi artystki, nieodstępny przyjacielski towarzysz do śmierci — takie osobniki nasuwają myśl, że przy poświęceniu z naszej strony, moglibyśmy spotęgować uczucie i rozwijać władze umysłowe zwierząt, a tem samem dojść do odkrycia nie jednej tajemnicy w przyrodzie.

Pożycie rodzinne zwierząt bywa różne i bardzo stopniowane. Tomy zapełnićby można spostrzeganymi różnicami. W ogólności, dopóki płód potrzebuje opieki, uczucie widoczne, również obrona i poświęcenie niekiedy do szaleństwa doprowadzone, u innych zaś na pozór obojętność i bierność, często ostrożność, rzekłbym sobkowska, nie dozwalają bronić dziatwy.

Rozkoszny nasz wróbel, uosobienie używania, z rezygnacyą znosi utratę dzieci, a przecie sam widziałem, jak się wróble w ogień rzucały i do gniazd dążyły. Przypominam sobie dwa bociany, które ponad pożarem krążyły i w jednej chwili, z dziobami na dół spuszczonymi, pionowo spuściły się na będące w ogniu gniazdo z pisklętami. Zupełnie jasno nam powiedziały, że kiedy dzieci giną, to i nam żyć nie warto. Rozczulający jest widok jaskółek, gdy w czasie pożaru, w szalonym locie, lamentując ustawicznie, nareszcie wlatują do ognia. Drapieżne ptaki i kruki w niebezpieczeństwie przenoszą niekiedy nawet w oddalenie wielkie swe pisklęta, aby je zabezpieczyć.

Rozrzewniające jest pożycie skowronka pośmieciuszka, a tak łatwe do badania, że każdemu za przykład służyć może, kto tylko na ten obrazek spojrzeć zechce. Wzór to rodzinnego życia, stroniącego od obcych, na podstawie czułego przywiązania, wzajemnej opieki i pomocy. Gdy parka wychowa pierwsze zniesienie, przystępuje do drugiego, lecz dziatwę w bliskości zachowuje, ustawicznie wołając na siebie, jak gdyby pytała: czy jesteście, czy o mnie pamiętacie? Pierwsza młodzież, jak to i u nas bywa, stopniowo się emancypuje, wszakże nie usuwając się w dalsze strony, druga zaś rodzina już do wiosny wspólnie i z poświęceniem naszą srogą zimę przebywa, wspierając się w rozczulający sposób, to w przytuliskach, to w wyszukaniu pożywienia na przednowku. Z całej wielkiej grupy miłych nam spiewaków, jeden pośmieciuszek nas nieopuszcza, nucąc często na mrozie, obrócony do słońca.

Kuropatwa może być również podobnym obrazem, u niej wszakże przywiązanie do piskląt, rzekłbym namiętne, narażające ją na niebezpieczeństwa, którym się mężnie stawia. Ta miła i bezbronna ptaszyna, nieprzyjacielowi w oczy skacze, w karykaturę się przeistacza, wynajduje ruchy najdziwaczniejsze, aby wroga od dzieci odwodzić a na siebie rzucić. Nawet kogut, pełen odwagi, troskliwości i poświęcenia, często stawia czoło, gdy kuropatwa odgania i kryje dzieci.

Aby ocenić jak należy to przywiązanie, graniczące z namiętnością i zaślepieniem, opowiem następujące zdarzenie.

W dosyć późnej jesieni, (prawdopodobnie było to drugie zniesienie) stanął mój wyżeł do gęsto zarośniętego pnia dębowego. Usłyszałem gdakanie kuropatwy, szmer i szelest i w okamgnieniu zobaczyłem kuropatwę na głowie psa, uderzającą go dziobem, z rozpostartymi skrzydłami. Oczom moim nie chciałem wierzyć. Widocznie pisklęta nie były jeszcze lotne i kogut je uprowadzał prawdopodobnie do bezpiecznego schronienia. Jak indor rozgniewany pruje lotkami ziemię, pysząc się swym chodem, tak kuropatwa niekiedy nieprzyjaciela zastraszyyć się stara podobnym chodem.

Konkurencye czyli umizgi w porze lęgowej wzbudzają ciekawość i bywają zajmujące; sposoby czyli zwyczaje nie należą do osobników, lecz do rodzajów i grup. Drapieżniki ostre a niekiedy krwawe staczają walki i zdobywają samice wstępnym bojem. U dzików widzimy przerażające bójki; odyńce bywają od rywalów pocięte, poorane głębokimi ranami, dosięgającymi do 20 cięć, niekiedy śnieg bywa farbą zbroczony. Na rykowisku nie obejdzie się bez kontuzyi, a niekiedy niebezpiecznych pchnięć, nawet splecenie rogami dwóch walczących nie bywa rzadkiem zjawiskiem i natrafiamy szkielety dwóch jeleni splecionych rogami. Rogacze są przy sarnach zajadłe, mściwe, natarczywe, pełne złości i podstępów. Nie tylko, że się szturkają a niekiedy przewracają, lecz jeszcze się mszczą. I tak, zwalczony rogacz ustępuje z pola walki i udaje ucieczkę, lecz w jednej chwili się odwraca i pędem, z całą siłą, uderza na współzawodnika. Co za uczucia u samic się wykształcają, jaka ich siła, czy wybrały już oblubieńca, czy się radują lub boleją — tego orzec nie możemy. Na oko zupełnie one obojętne i zimne, czekające na wybór podług losu, wynikającego z walki, zjednoczone zaś przywiązują się mocno do rogaczów; widzimy to na polowaniach, jak go szukają i jak za nim tęsknią.

W zającach bywają chucie rozwinięte do stopnia zbrodni. Oka oderwać nie można od tych scen, walk i prześladowań. Nieraz prześladowana konkurentami zajęczyca, jakby bez życia kładzie się i dozwala już jak bez życia deptać po sobie. Przypuszczam, że po takiej parkotni nie jedna zginie. Pazurami i zębami drapią się i turzycę zdzierają między sobą, a również ze samicy; złapawszy jeden drugiego za słuch, ciągnie za sobą i skórę rozdziera, niekiedy osmyk ogałaca, a walka toczy się na nieprzerwanej wędrówce, wyjąwszy tych krótkich chwil, w których samica już ubezwładniona spocząć musi. Samce wszakże bynajmniej nie odpoczywają; zdawałoby się, że zagryzą się na śmierć.

Lisy odbywają w norach swe konkury, lecz często widujemy je na polu. Kuny z dziwnym hałasem, forkaniem i mruczeniem je odbywają. U wilków rozżartość wielka w czasie tyczni; gryzą się zawzięcie i tak są rozwścieklone, że nie zważają na niebezpieczeństwa. Do jakiego stopnia ich roznamiętnienie dochodzi, dość powiedzieć, że częstokroć rozedrą konia i bydlę, a nie ruszając mięsa pędzą dalej, jak w zaślepieniu, i jedynie wtedy posilają się, gdy samice do ścierwa przyskoczyły. Wilki najwyraźniej wskazują, że w przyrodzie jest samic o jedną trzecią mniej niż samców.

U ptaków wyjątkowe walki na życie i śmierć.

U drapieżców widywałem do tego stopnia zawzięte bójki, że raz chłop kijem dwa orły zabił, trzymające się razem szponami i dziobami. I drugi wypadek podobny widziałem, tu wszakże jeden orzeł uleciał. Opisują podróżnicy i ornitologowie walki sępów, narażające je na śmierć — tego wszakże zauważyć nie zdołałem, gdyż te ptaki wyjątkowo u nas przebywają, a zatem z pod naszego badania są usunięte.

W czerwcu i w lipcu, w czasie udawanej rui, którą wielu za rzeczywistą uważają, rogacze rozognione z okrucieństwem prześladują sarny, czy to starsze, broniące się, czyli młodsze, nie przypuszczające rogaczów. Gonią je całymi godzinami, skaczą po trzykroć i ze złości tłuką jak w pudło rogami, niekiedy nawet zadając rany. Nieraz się przypatrywałem tym rozhukanym igrzyskom, przedstawiającym rogacze w postaci istnych katów, a dwa razy widziałem rzeczywiście popełnione zbrodnie. I tak, w niewielkiem oddaleniu wypędził rogacz sarnę na brzeg lasu; nieszczęśliwa ofiara rozkiełznanych chuci, znękana i zmęczona, położyła się na drożynce i leżała bez ruchu, kozioł zaś szturkał rogami po

szynkach i deptał racicami, i byłby ją niezawodnie dobił, gdyby nie moja pomoc. Nie mam wszakże przekonania, żem ją uratował, gdyż po odpędzeniu napastnika siutka ledwie chwiejnym chodem poszła do krzaków i ułożyła się na murawie.

Drugi podobny wypadek skończył się tragiczniej, gdyż sarna, otrzymawszy trzy rany, sięgające aż do jelit, zginęła w moich oczach.

Dwóch wiarogodnych leśników opowiadało mi, że w podobnych chwilach rogacze zamierzały na nich uderzać ze spuszczonymi głowami i z rogami do ataku. Tu opiekuńcza matka przyroda, widocznie odwraca się od swych żyjątek, zaślepionych w swych rozhukanych chuciach.

Zwyczaje konkurencyi zajmują nas wielce. Drapieżne ptaki toczą koła coraz wyżej i wyżej pod niebiosy, i kwiląc powołują samiczki do tych igrzysk; brodźce zaś tańcami i skokami zdobywają, jak Indyanie, upragnioną. Tu bezprzecznie żuraw jest ptakiem najciekawszym do badania; biegnie z szybkością błyskawicy, przysiada, to podskoczy w górę, to skacze z jednej na drugą nogę, napusza pierze, trzepie swymi strusiowymi piórami, łapie w dziób kamyczek lub bryłkę, rzuca i chwyta — istne turnieje ptasie, wobec widzów tego gatunku. Drop w zalotach przypomina indora, wszakże okazalszy, z najeżoną brodą. Nasz domowy lubieżnik i pasibrzuch, on również tokuje, pruje ziemię lotkami, pierze podnosi, a w walce z rywalem zawzięty. Najczęściej bojownicy, związawszy się pazurkami i dzióbami na drzewie lub na dachu, spadają związane na ziemię, przewracają się, głuche i ślepe, i wtedy je można kijem zabijać.

Żaden ptak nie przedstawia tak uroczego obrazka zalotów, mimowolnie rycerzy rzymskich przypominając, jak gminnie nazwany batalion kulig, lub babka, (bojownik batalion). Niestety, zaloty jego odbywają się na odkrytych bagnach, a zatem są oku bez doskonałej lunety nieprzystępne. Otóż bataliony stawają po 4, 5 lub 7 naprzeciwko siebie, napuszają różnobarwiste kołnierze i z dzióbami i głowami spuszczonymi do ziemi, na znak dany, jak w kadrylu, biegną do siebie, mijają się, szykują i znowu biegną, nareszcie w czasie zagonu stają i poczynają się wzajamnie turbować, co trwa niekiedy całymi godzinami.

Kuraki czyli ptaki grzebiące zaślepione są przy tokowaniu. I tak głuszec, uosobistniona ostrożność, niemal kijem się da uderzyć, jeżeli już gra zapamiętale, a cietrzew na kształt pijanego koziołki wywraca, tarza się i zdawałoby się, że kona w ostatnich podrygach.

Za dalcko by mnie opis tokowań zapędził, gdybym dalej je opisywał, wspomnę więc o rozkosznych naszych spiewakach, konkurujących głosem, melodyą i harmonią. Jedne cicho nucą, tuląc się do samiczki, inne fanfarami światu głoszą swe afekty, niekiedy ze szczytu drzewa weselny spiew przesyłają samiczce w gąszczu ukrytej lub siedzącej na gałązce. Czy ona w swym zachwycie go woła głosem nam nieznanym, czy on w przekonaniu, że się już artystycznie z zadania wywiązał, spuszcza się do niej i pieści — trudno rozstrzygnąć. Szpaki niby do ucha szczebiocą miłosne oświadczenie, a samiczka z upodobaniem słucha — *tout comme chez nous.*

Uczucie czyli przywiązanie samca do samiczki, lub rodziców do dzieci, niekiedy przywiazane do osobników, najrozmaitsze przechodzi stopnie, wszakże uczucie konserwatyzmu i wrodzona ostrożność górują. Po utracie jaj i piskląt widoczny ból, niepokój i lament, lecz to przejściowe i krótko trwałe. W szczególności u ptaków, znoszących jaja po raz drugi, rzadko kiedy narażają się rodzice na osobiste niebezpieczeństwo w obronie pierwszego zniesienia.

Pomiędzy ssakami naszymi widzimy jedynie niedźwiedzicę, stającą w obronie swych piastunów. Inne drapieżce nie bronią rabunku dzieci. Między ptakami znane mi są jedynie dwa wypadki odważnej i natarczywej obrony, w której napastnik ledwie się kijem obronił. Były to przeprawy z orłem przednim i wielkim puhaczem U drapieżców lament ptactwa, tkliwy i rozbrajający, towarzyszy wyżywieniu piskląt, lecz czyniłem wiele prób i przekonałem się, że ostrożność ptaków przewyższa przywiązanie i dozwala zagłodzenia dzieci.

U spiewaków natomiast, tak ziarnojadów jak i u owadożernych, wprawdzie zawsze z lamentem i wielką ostrożnością, lecz przynosiły stare pisklętom żywność w moich oczach. Te same parki, tak ostrożne wobec człowieka, walecznie bronią swego zniesienia przed zwierzętami. I tak, widziałem pokonaną przez szpaki wiewiórkę i wróble wściubskie, wypędzane przez szpaki. Najlepszy dowód mowy, porozumienia i wzajemnej pomocy spostrzegamy u jaskółek, gdy wypędzone przez wróble, skarzą się towarzyszkom i karzą wspólnymi siłami napastników.

Najoryginalniejszem co widziałem, było przywiązanie kaczora dzikiego do swej pani, która go wychowała. Artystka niemka, oczywiście najoryginalniejszego ustroju, zamierzała, jak Junona łabędzia, wychować kaczora i dokazała swego, co pewnie pozostanie unikatem w swoim rodzaju, a że jest szczerą prawdą, muszę potwierdzić, gdyż kilkakrotnie widziałem tego ptaka i jego właścicielkę. Wszędzie za nią łaził, kołysząc się na nogach, siedział i drzemał pod jej stołem, na jej zawołanie „Entrich!“ zlatywał do jej nóg, jeżeli był w ogrodzie lub w przytykającej winnicy, a pokarm z jej ręki tylko przyjmował. Oryginalny ten stosunek byłby pewnie trwał przez długie lata, gdyby nie przykry wypadek, pozbawiający życia kaczora w trzecim roku. Wpadł był na podwórze obcy pies i poturbował ptaka; wprawdzie go obronili, lecz kwękał i kwękał przez kilka tygodni i nareszcie zginął.

U ziarnojadów widywałem znaczne przyswojenie i ułaskawienie, oraz widoczne przywiązanie w obcowaniu z ludźmi. Znałem kilka nader rozumnych kruków, służących wiernie właścicielom, pomimo wrodzonej żyłki złodziejskiej. Jeździły z właścicielem w pole i na spacer, latały godzinami i powracały, a na zawołanie, jak na apel się stawiały. Jeden kruk z szeregu mi znanych, wyraźnie mówiący, siadywał u swego pana na ramieniu, gdy tenże chodził lub na koniu jeździł do gospodarstwa, i czasami z własnej ochoty przemawiał do niego.

Sokolnictwo i jego szkoła dowodzą możności wykształcenia umysłowego i przywiązania zwierząt do ludzi, lecz aby ten skutek nastąpił, wypada użyć cierpliwości i wytrwałości w takim stopniu, jakim już dziś nie jesteśmy uposażeni.

Bywają z natury dziwnie dzikie osobniki, nie dające się oswoić, inne zaś w tym samym gatunku przeciwnie lgną do człowieka, rozumieją mowę i że tak powiem, poddają się tresurze. Wszakże i najuleglejszym zawierzyć nie można; częstokroć po latach odzywa się ich pierwotne usposobienie. Obserwujemy to nie tylko na ptakach, lecz na niedźwiedziach, wilkach, lisach, wydrach i t. d.

Żal i tęsknotę wzbudzają spiewaki owadożerne, o ile mi wiadomo, nie dające się przyswoić. Jakaż by to była miła rozrywka, posiadać harmonijnego spiewaka, latającego i nucącego nam w pokoju, rozweselającego nas w porze obumarłej przyrody. Do tej chwili wszakże próby się nie udawały.

Ze wszystkich spiewaków najdłużej wytrzymywała raszka. lecz i ona nigdy roku nie dożyła; przeciwnie ród drozdów zimuje łatwo przy stosownem pożywieniu i wielkiej czystości.

Szczególne to zestawienie, gdy widzimy naszego pasożyta wróbla, plątającego się między nogami, tego wściubskiego tak rozumnego ptaka, który bez człowieka nie żyje, makolągwę nucącą nad nami swe melancholijne arye i tyle innych z nami zżytych, a nie dających się ułaskawić.

Badając w szczegółach ten bezgraniczny świat przyrody, jeszcze w całości nam nie znany, spostrzegamy stopniowanie rozumu, pamięci i uczucia. Zdawałoby się, że Stwórca uposażył równą miarą swe żyjątka, a tu przeciwnie, jak u ludzi, są stopnie zdolności, *varietas in unitate.*

Przytoczmy przykład papug. W swej ojczyźnie nie przedstawiają one nic wzbudzającego ciekawość badawcza, wyjąwszy jaskrawych barw, a w niewoli, że tak powiem, zbliżają się do człowieka, przyjmują naszą mowę, a niekiedy nawet trafnie odgadują naszą myśl, lub odpowiadają na nasze pytania. (Dok. nast.)

MYŚLIWSTWO PANA HELIODORA.

Szkic z natury.

(Dokończenie).

Myślałby kto, że p. Heliodor Mydełkiewicz zniechęcił się i odstraszył myśliwskim swym debiutem. Gdzie tam! Przeciwnie. Rozbierała go coraz większa passya myśliwska. Codziennie po godzinach biurowych wymykał się „na błota“, strzelał na prawo i na lewo, straszył wróble i skowronki, czasem walił z fantazyą do przelatujących w górze kaczek lub gołębi, raz nawet zastrzelił na prawdę siedzącą na miedzy wronę — ale pastuchy i krowy obchodziły z respektem „pana komisarza“, a postrzelona krasula co chwila się zrywała, gdy ją tylko huk wystrzału doleciał.

Nareszcie huku tego było tak wiele, i sława bohaterstwa myśliwskiego p. Heliodora zaczęła tak rosnąć w mieście, szczególniej między płcią piękną, że gorączka myśliwska jęła rozpierać i inne bohaterskie serca.

Pan aptekarz i pan respicyent straży finansowej mieli przecież także dubeltówki, ale nie mieli „swoich błót“ tak blisko pod miastem, zaznajomili się więc w kasynie z p. Heliodorem i weszli z nim w myśliwską zażyłość.

Pan respicyent był już dwa razy na urządzanych przez starostwo obławach, czuł się więc jednym z najzawołańszych myśliwych. Wprawdzie na tych obławach, zamiast wilków, grasujących po okolicy, padł jarząbek, wiewiórka, kundel wiejski i siuta, sprzątnięta i ukryta w krzakach przez sprytnego kłusownika — ale to nie przeszkadzało wcale panu respicyentowi, iż o obławach owych mówił z wielkim entuzyazmem, kreśląc w żywych barwach przezwyciężane trudności i używane fortele myśliwskie i dając słuchaczom do zrozumienia, iż on właściwie obławami tymi dowodził. Nikt też nie zaprzeczał mu laurów myśliwskich. A gdy się huk strzałów Heliodorowych zaczął rozchodzić po mieście, poczuł w sobie p. respicyent powołanie do wzięcia w opiekę młodszego towarzysza w św. Hubercie, do udzielania mu rad i wykrywania tajemnic zawodu myśliwskiego.

Inne zasługi łowieckie posiadał pan aptekarz. Ten preparował najlepsze witerunki na lisy, różne świeczki i orzeszki, do których nie żałował strychniny, i tym sposobem wszedłszy w stosunek ze wszystkimi leśniczymi w okolicy, czuł się już nieodrodnym towarzyszem drużyny myśliwskiej. Przyszło w końcu do tego, że nawet od jednego z leśniczych w zamian za witerunki i psie medykamenta wcale niezłą kabzlówkę wycyganił, i że się z nią zasiadał w zimie, do księżyca, na zające, które się tam na umyślnie zostawiony jarmuż ściągały.

Otóż obaj ci wytrawni myśliwi, chcąc mieć także bliską „knieję“ na niedzielne wycieczki, zawarli znajomość w kasynie z panem Heliodorem i utworzyli myśliwski tryumwirat, który nie rozprawiał odtąd o niczem innem, tylko o myśliwstwie.

Rozkosz była słuchać tych panów, gdy rozparłszy się się we fotelach, o swoich wyprawach myśliwskich opowiawiadali. Pan respicyent trzymał zazwyczaj prelekcyę o broni, o ładunkach, o nadzwyczajnej celności swych strzałów i wracał zawsze do swych obław — p. aptekarz zaś, bardziej oczytany i obdarzony żywą wyobraźnią, kombinował w swej głowie zapamiętane szczegóły podróży amerykańskich i afrykańskich z naturą ojczystego zagona i komponował takie przeprawy z niedźwiedziami, odyńcami i wilkami, że p. Heliodorowi aż ciarki po grzbiecie chodziły.

Pan respicyent, wiedząc, że to wszystko wierutne łgarstwa, wzruszał wprawdzie ramionami, nie kompromitował jednak swego towarzysza, bo cel ich wspólny, tj. wproszenie się do terytoryum dzierzawy myśliwskiej pana Heliodora, nakazywał im wspierać się wzajemnie w zdobywaniu jego zaufania i przyjaźni.

Nareszcie cel został dopięty. P. Heliodor dopuścił wspaniałomyślnie obu braci w św. Hubercie do polowania na dzierzawionem przez siebie terytoryum (zwłaszcza, że sam po kilku wycieczkach ani kszyka ani krzyżówki zdobyć jakoś nie mógł), a dla solennego inaugurowania tej spółki, zaprosił ich najbliższej niedzieli na wspólną wyprawę.

Był to dzień pamiętny w dziejach naszego miasta powiatowego. Całe kasyno wiedziało o tem, pani aptekarzowa dała na mszę, żeby się mężowi co złego nie przytrafiło, pani respicyentowa żegnała męża ze łzami w oczach, pan Heliodor stroił się do lustra w najwyszukańszy swój garnitur do błotnych polowań, a panna Niusia, do dnia już ubrana, wypatrywała z poza białej firanki, kiedy jej wypadnie ukazać się całkiem niespodziewanie (?) przy furtce ogrodowej.

Pan aptekarz, przywiązawszy sznurkami w dole zegeltuchowe pantalony i wziąwszy podarte lakierki z przeszłorocznego karnawału, gotował się już do drogi, gdy wtem

przypomniał sobie, iż p. Heliodor — osądziwszy, że myśliwy, który się z kabslówką na błota wybiera, jest już dziś „niemożliwym anachronizmem“ — przyrzekł mu pożyczyć jednę z swych odtylcówek. Pisze więc bilet i posyła go przez Feśkę do „pana komisarza“.

Feśka biegnie, że aż ulica dudni pod jej bosymi piętami, przybiega zdyszana i oddaje bilet, ale gdy jej w zamian chcą dać strzelbę do ręki, wrzeszczy jak opętana, zakrywa oczy rękami i jęczy:

— Oj, oj, oj! Ja toho ne woźmu!

Pan Heliodor śmieje się i tłumaczy, że strzelba sama nie wystrzeli, a przytem ocenia wdzięki tej ruskiej nimfy sielskiej, i podczas, gdy ona nie chce brać broni do ręki, on bierze się do niej i stara się ją do swych zapatrywań nakłonić.

Wszystko to nie podoba się znowu Trezorowi, który dotychczas leżał cicho pod piecem, a oceniwszy swą przewrotną psią logiką, że pan jego jest w niebezpieczeństwie, poczyna szczekać przeraźliwie i rzuca się na Feśkę.

Pan Heliodor czuje się mocno zalterowanym, kopie Trezora, a Feśka tymczasem, salwując się przed dubeltówką, jej panem i Trezorem, otwiera drzwi i ucieka.

Zdyszana i czerwona przybiegła Feśka bez niczego. Pan aptekarz klnie na czem świat stoi i już chce posyłać „laboranta“, bo ten służył przy wojsku i dubeltówek się nie boi — gdy wtem przypomina sobie, że najlepiej będzie, gdy sam pójdzie, bo przecież i tak zejść się mają i razem ruszyć na błota.

Jakoż maszeruje p. aptekarz w podartych lakierkach i obcisłych u dołu spodenkach, jakgdyby wstąpił do węgierskiej piechoty, a pani aptekarzowa bierze tymczasem Feśkę na konfessatę i dowiedziawszy się ze zgorszeniem o figlach pana Heliodora, obiecuje skarcić go zato „na osobności“.

Lecz p. Heliodor jest niewinny jak dziecko, a jako myśliwy całkiem wytłumaczony. Wszakże czytał i słyszał, że myśliwemu na szczęście trzeba „pokazać kolano“, i o to tylko mu się rozchodziło — a teraz jest wesoły, nuci chór z „Wolnego strzelca“ i fiksatorem dokonywa reszty swej toalety przed lustrem.

Tak go zastają obaj inni Nimrodzi.

— Witajcie panowie! — woła pan Heliodor — dzień jest prześliczny, ręczę, że kaczek, kszyków i przepiórek nabijemy tuzinami. Ale będzie gorąco, wartoby przedtem napić się po kieliszeczku koniaku.

I dobywa ze szafy flaszkę z wyzłacaną etykietą.

Któżby takiej pokusie odmówił? Respicyent skarbowy jej się nie boi, bo, dzięki p. Dunajewskiemu, ma z koniakiem kartoflanym dużo do czynienia i na zegarach gorzelnianych kręci swą dolę jak umie — a aptekarz? No, ten i „serwaserowi“ zagląda bezkarnie w oczy.

Zabrali się więc do koniaku nasi Nimrodzi i do myśliwskiej słoniny paprykowej i do marynaty z węgorza... A że „po marynacie znów trzeba pić bracie“ — wyciągnął p. Heliodor jedną, drugą i trzecią butelczynę zieleniaka i wysuszyli to najsumienniej.

Właśnie zaczęto dzwonić pierwszy raz na sumę, gdy to myśliwskie nabożeństwo się skończyło, i nasi trzej towarzysze, na niezupełnie pewnych nogach, wymykali się chyłkiem za miasto na błota... Ominęli niestety i ulicę, gdzie panna Niusia już od dwóch godzin z niecierpliwością ogródek swój porządkowała.

Słońce przygrzewało już mocno. Trezor, zwyczajem swoim, wyskakiwał naprzód w lansadach, szczekając z uciechy i pędząc skowronki, a Nemrodzi nasi rozglądali się po ziemi i po niebie, czy nie ma jakiej żywej duszy do zamordowania.

Pan respicyent, najbardziej zamaszysty, postępował przodem, aptekarz i p. Heliodor obok siebie, nieco w tyle. Wtem zebrało się aptekarzowi na czułość. Przystanął.

— Kochany, kochany komisarz! — zawołał rzucając mu się na szyję — co za koniak, co za marynata! Co za dusza poczciwa!

Chciał płakać z rozczulenia, bo koniak w połączeniu z zieleniakiem, pod wpływem słońca lipcowego, napełniały mu serce niezwykłą czułością — lecz nagle zachwiali się obaj i o mało co nie runęli, a lufy strzelb ich, zetknąwszy się, zadźwięczały także braterską harmonią.

— Zacny, kochany komisarz! — powtórzył aptekarz, dobywszy wszelkich sił, aby się utrzymać w równowadze — nawet mi swej lankastrówki pożyczył! A śliczna broń, piękna broń! — dodał, zdejmując dubeltówkę z ramienia — Pozwól szanowny kolego, abym tę piękną broń wypróbował, nim przyjdzie mi się złożyć do zwierzyny.

I rzekłszy to, pan aptekarz, wycelował do góry i hrymnął raz po razu.

Trezor zatrzymał się nagle w swych lansadach i szczekając rzucał się tu i owdzie, a pan respicyent odwrócił się w mniemaniu, że to już salwa do kaczek, lecz w tejże chwili chwycił się za czapkę i wstrząsnął ze zdziwieniem.

— Ho-ho, panie aptekarzu! — zawołał — a ostrożnie tam z bronią, bo śrót pański całego mnie obsypał.

Aptekarz zbladł z przestrachu, znał bowiem popędliwość i mściwość pana respicyenta, i nic nie mówiąc, zarzucił broń na ramię.

Tymczasem huk strzałów spłoszył z najbliższych błotek kaczki; zrywały się po trzy, cztery i wynosiły się na dalsze moczary.

Nasi myśliwi doszli wreszcie do brzegu błót. Popędliwy respicyent sunął naprzód i wnet brodził po kolana w wodzie

— Panie respicyencie! Co pan robi? — zawołał z przerażeniem Heliodor.

— Albo co? — odparł respicyent stanąwszy i zwróciwszy się do swych przyjaciół.

— Jakżeż pan możesz iść do błota — rzekł Heliodor — wszakże pan całkiem nogi sobie przemoczysz!

Pan respicyent zaczął się śmiać śmiechem moralnej wyższości.

— A jakże pan chcesz po błotach polować, żeby się nie zamaczać?

— Ja sobie chodzę brzegami, o tak, tylko brzegami, a gdzie trochę mokrzej, to przeskakuję — odparł pan Heliodor.

— A to kapitalnie! — wrzasnął pan respicyent i uderzył dłonią po kolanie — ale to pan nigdy nic nie zabijesz! Ja panie dobrodzieju, już nieraz i po szyję w błocie siedziałem, ale zato kaczek tuzinami do domu przynosiłem.

— Ja nie mogę się zamaczać — rzekł pan Heliodor — bo zaraz kataru dostaję, a zresztą zniszczyłbym całkiem mój garniturek do błót...

Pan respicyent machnął ręką pogardliwie i ruszył dalej po wodzie.

— Ja idę na środek błót — rzekł pan aptekarz — ale tak ostrożnie, wie pan, z kępki na kępkę, bo to czasem można się zapaść niebezpiecznie.

I rzekłszy to, począł wysoki a chudy aptekarz kroczyć jak bocian przez błota, podnosząc nogi kolanami pod brodę i chycając od czasu do czasu z kępki na kępkę, co w jego obecnym stanie rozmarzenia śniadaniowego na bardzo ryzykowną gimnastykę zakrawało.

Mimo dobrego przykładu obu towarzyszy, nie mógł się pan Heliodor zdobyć na poświęcenie pięknego garniturku i ruszył brzegiem błota popod kapustniaki, które z tej strony do pól włościańskich przytykały.

Trezor, chcąc się ochłodzić z upału lipcowego, rzucił się w wodę i chlapał się po niej czas jakiś, ale gdy mu ostry liść kwaśnej trawy nos skaleczył, wyrwał się z bagna i mimo nawoływań i gwizdań pana respicyenta, wolał kroczyć między grządkami kapusty.

Ta część błót ciągnęła się właśnie wzdłuż pól owego majętnego kolonisty, który jako kandydat stawał na licytacye polowań gminnych, i w obec szczodrobliwości a urzędowej przewagi pana komisarza musiał odejść z kwitkiem. Teraz kolonista ów stał z fajką w zębach za płotem swego obejścia i szyderskim uśmiechem przyglądał się myśliwstwu trzech „sonntagsjaegerów.“

Wtem p. respicyent wypatrzył sporego już podlota na wodzie. Nieszczęsny ten potomek kaczego rodu był tak nieostrożnym, że porzucił bezpieczne ukrycie szuwarów i ukazał się na otwartej halawce. Skorzystał z tej chwili pan respicyent i całym nabojem kaczego śrótu ugodził w nieostrożnego podlota. Dym się rozszedł po wodzie, Trezor podskoczył w kapuście i szczeknął, a raniony podlot dał nurka. Rzucił się za nim po pas pan respicyent, ale że węchu psiego nie miał, a Trezor stanowczo odmówił posłuszeństwa, skończyło się tylko na okropnem zabłoceniu i pochlapaniu pana respicyenta, bo podlot, wychyliwszy się z wody gdzieś między szuwarami, usunął się na zawsze od prześladowań chciwości myśliwskiej.

Strzał p. respicyenta miał jednak inne, o wiele ważniejsze skutki. Zbudził on marczaka, który, najadłszy się kapusty, spał w bruździe snem cnotliwych istot, które tylko o mnożeniu sadła swego pamiętają. Jak na nieszczęście, dostrzegł i Trezor skok przestraszonego kopyry i zajadłem dziawkaniem puścił się za nim.

Widok ten zelektryzował pana Heliodora. Podniósłszy prawą ręką strzelbę do góry, jął krzyczeć „Zając, zając!“ i biegł za Trezorem, a pan respicyent zaczął ze swej strony krzyczeć: „Zając, zając!“ i chlapiąc przez wodę zabiegał drogę biednemu szarakowi, który ponad błotka zdążał ku czerniejącemu się na horyzoncie lasowi. Pan respicyent miał go już na jakie 15 kroków i byłby strzelił, ale cóż, kiedy dubeltówka, po wystrzeleniu do podlota, nie była nabitą, a pan respicyent, mimo wielkiego znawstwa na systemach broni, nie mógł wyciągnąć łuski wystrzelonego naboju. Darmo ciągnął paznogciami, darmo przyczepiał się zębami, urwał tylko dolną blaszkę wystrzelonego naboju, lecz nowego wsadzić nie mógł — a szarak odsunął się tymczasem na bezpieczną odległość.

O, lecz nie był wcale bezpiecznym, bo Trezor siedział mu na piętach, a za Trezorem biegł pan Heliodor jak chart i krzyczał ciągle: „Zając, zając!“

Wtem zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Pan Heliodor runął na brzuch jakby kosą podcięty, i uderzył strzelbą o ziemię. Że zaś strzelba, wedle reguł przezorności pana Heliodora, miała kurek zawsze odwiedziony, wypaliła więc z wielkim hukiem z obu rurek naraz, i to tak celnie, że szarak padł jak piorunem rażony, a Trezor jął się kręcić w kółko i skowyczeć w niebogłosy.

Takiego szczęścia myśliwskiego mógł chyba doznać tylko ten, co „ujrzał kolano“, wychodząc na polowanie. Żeby strzelba, runąwszy o ziemię, sama tak celnie szaraka sprzątnęła — temu doprawdy niktby nie dał wiary. Nie chciał temu i pan Heliodor uwierzyć, gdy leżąc przenikał wzrokiem rozchodzące się dymy, a gdy w istocie ujrzał martwego kopyrę, radość oblała mu oblicze i chciał się zerwać na równe nogi — lecz wtem padł znowu jak długi.

Cóż to takiego? Pan Heliodor struchlał. Trzymało go coś za nogę jak kleszczami i nie dozwalało powstać.

— Ratunku! ratunku! — zawołał z przestrachem.

Pan respicyent, który tymczasem scyzorykiem wystrzelone łuski powyjmował, przybiegł na to wołanie.

I cóż się pokazało? Oto tuż przy kapustniku, do krzaczka tarniny przymocowany był mocny drut, zakończony kluczką, w którą zaplątała się niebaczna noga pana Heliodora. Były to poprostu siłka druciane, założne przez kolonistę na zające, zakradające się do kapusty — i siłka te stały się powodem srogiego upadku ,,pana komisarza“, ale przyniosły także i to, co zamierzały: śmierć łakomemu szarakowi.

Rozpoznawszy powód upadku, zabrał się p. respicyent do uwolnienia towarzysza, rozciągnął napowrót kulkę drucianą, a potem całkiem ją pogiął i zniszczył. Nie uważali obaj, że przez chwilę przypatrywał się tej operacyi z szyderskim uśmiechem kolonista, który następnie, wziąwszy na siebie świąteczną kapotę, poszedł do miasta i nie oparł się aż w żandarmeryi, gdzie złożył najformalniejsze doniesienie o zabiciu zająca i domagał się zadośćuczynienia za pogwałcony czas ochrony zwierząt łownych.

Podstępu tego nie domyślał się wcale pan Heliodor, ani pan respicyent. Owszem, pełni radości z myśliwskiego połowu, zbliżali się ku leżącemu szarakowi, dokąd ich także skowyczenie Trezora prowadziło.

Dziwnem bo było zachowanie się tego cudownego wyżła. Zamiast pilnować szaraka lub do jego turzycy się dobierać, kręcił się on skowycząc w kółko i usiłując za ogon się pochwycić. Cóż było powodem tego walca? Niestety, nic innego, tylko także strzał celnej dubeltówki pana Heliodora. Dwa śróty przeleciały mu przez lewe ucho, a trzy ugodziły go w koniec ogona; tu i tam ciekła krew, a biedny Trezor, usiłując przynieść lizaniem ulgę obu tym obrażonym częściom ciała, kręcił się w kółko i nie mógł ich dosięgnąć.

Pan Heliodor, tkliwy na cierpienia swego pieska, podprowadził go do wody i obmył mu rany, poczem, przytroczywszy zająca do torby, zwrócił się z tryumfem ku domowi.

Lecz cóż się stało z panem aptekarzem? Jak daleko okiem zasiągnąć, nie było widać jego wzniosłej postaci. Daremnie p. respicyent świstał, daremnie pan Heliodor trąbił — nic się nie odzywało. Czyż dostawca mikstur i pigułek, najlepszy twórca lisich witerunków, ozdoba farmacyi, miałaby zatonąć najmizerniej w błocie?

Wezwawszy uspokojonego już nieco Trezora do pomocy, zabrali się nasi myśliwi do szukania zaginionego towarzysza. Pan Heliodor szedł brzegiem, pan respicyent środkiem błota i nawoływali nieszczęśliwego aptekarza.

Wreszcie odezwało się skomlenie i naszczekiwanie Trezora. Pospieszył za tym głosem pan respicyent i cóż znalazł?

Pan aptekarz leżał do połowy w błocie i wodzie, głową sparty na starem, miękkimi mchami porośniętem kretowisku, i chrapał w najlepsze. Trezor skomląc, lizał mu brodę i kamizelkę, jakgdyby go do tego jakie szczątki pożywienia zachęcały, a pan aptekarz, mrucząc, opędzał się machinalnie

ręką, jakto zwykł czynić człowiek w głębokim śnie pogrążony.

Dopiero potężne wstrząśnięcie respicyenta i głos jego basowy przywiodły do przytomności pana aptekarza. Otworzył oczy, nie wiedząc, gdzie jest i co się z nim dzieje, a gdy przyszedł do świadomości swego położenia, uczuł się wielce skonfundowanym.

— Co się panu stało? — zapytał respicyent.

— A, bo ja wiem, zawrót głowy, nudności... Wie pan, ja mam słabą głowę, a trochę za dużo piło się przy śniadaniu... Słońce dopiekało, pośliznąłem się na kępince, a potem nastąpiła ulga, wie pan, i było mi lepiej, gdy nogi w wodzie się ochłodziły, przyszedł na mnie dziwnie twardy sen...

Ta *sicsta* w błocie nie przyczyniła się do podniesienia uroku pana aptekarza. Wyglądał okropnie, czarny od torfu jak kominiarz, z włosem rozburzonym, z twarzą bladą od wzruszeń po zbytku koniaków i zieleniaka. Piękna lankastrówka, zatopiona w błocie, nie miała również myśliwskiego wyglądu. Lecz jakoś powlókł się z nią nieborak i przy pomocy p. respicyenta wydobył się na brzeg.

Słońce piekło, lecz chyliło się już ku zachodowi; można było jeszcze polować, lecz nasi Nimrodzi czuli się i znużeni i zniechęceni. Jeden tylko p. Heliodor miał prawo być dumnym, bo dźwigał przytroczonego do torby szaraka i ani mu przez myśl nie przeszło, że jeszcze z ośm tygodni do pory, w której ustawa na zające polować dozwala.

Ponieważ wszyscy trzej bardzo byli zabłoceni, wynajęli w najbliższej chałupie konie i furą wrócili ukradkiem do miasta. I nikt na nich nie zwracał uwagi, prócz pana „postenführera“, który stał przed posterunkiem żandarmeryi i z dziwnym uśmiechem p. komisarza salutował.

Gdy pan Heliodor znalazł się u siebie i oczyścił, zawołał natychmiast stróża i posłał go do pani inspektorowej z zającem i następującym bilecikiem:

„Łaskawa Pani! Maleńką zdobycz z mych dzisiejszych łowów mam zaszczyt przesłać w załączeniu, prosząc o łaskawe przyjęcie wraz z najpiękniejszymi ukłonami dla łaskawej pani i panny Niusi. Są to również przeprosiny mojej dubeltówki, która kiedyś tak wielkiego strachu pannę Niusię nabawiła. Z głębokiem poważaniem, *Heliodor Mydełkiewicz.*“

U państwa inspektorów wywołała ta przesyłka i ten grzeczny liścik niesłychane wrażenie. Stróż dostał 20 centów na piwo, ale musiał zaczekać na odpowiedź, którą panna Niusia w imieniu matki, zdarłszy kilka zepsutych ćwiartek papieru, w następujących słowach wystylizowała:

„Szanowny Panie! Mamcia przesyła śliczne podziękowanie za prześlicznego zająca, ale byłoby i nam i zajączkowi przykro, gdyby go szlachetny jego morderca nie miał razem z nami spożyć. Mamcia (bo tatko wyjechał na komisyę) prosi więc szanownego Pana jutro wieczór na kolacyę, w nadziei, że Pan tego zajączkowi ach! i nam nie odmówi. Z prawdziwem poważaniem *Karolina*“.

Matka była zachwycona tą dyplomatyczną odpowiedzią i widziała już proroczym duchem, jak ten zając niesie w zębach pochodnię hymenu; protestowała tylko przeciw wyrazowi „morderca“ i przeciw „ach!“ między „nami“ i „zającem“ — ale gdy jej Niusia wytłumaczyła, że morderca jest umyślnie użyty, bo się rymuje do „serca“, a w niewinnem „ach“! jest znak ukrytego westchnienia, które może Heliodora do żywszych wynurzeń ośmielić — uściskała matka swą genialną córkę i poszły razem do kuchni, ażeby z kucharką nad sposobem przyrządzenia zająca i całej wieczerzy się zastanowić.

Już było zdecydowanem, iż zając ma być danym bez bajcy, a do tego sałata z drobnej fasolki i z kartofli — już kucharka podniosła nóż, żeby z zająca zdjąć skórę — gdy wtem stanął we drzwiach pan „postenführer“ żandarmeryi w pełnym rynsztunku, a wytłumaczywszy powód swego przybycia i naruszenie ustaw, położył rękę na zającu jako na ofierze prawa.

Trudno opisać, co się działo w sercach przytomnych tam niewiast, jak namiętne wyrazy żal wciskał im do ust. Że pani inspektorowa nie wydrapała oczu panu „postenführerowi“, lub że go nożem kuchennym w serce nie ugodziła — w tem zaiste podziwiać trzeba niepospolite przezwyciężenie matki, która widzi, jak najmilsze jej marzenia co do córki na zającu w okrutne ręce żandarma uciekają — a przecież umie się pohamować.

Lecz stało się! Nieubłagane prawo w osobie pana „postenführera“ skonfiskowało szaraka, i deponowało go w kancelaryi jako *corpus delicti*, a pan Heliodor, zamiast z miłą wieczerzą u Niusi, spotkał się nazajutrz z cierpkimi wymówkami p. starosty i z karą pieniężną za niedozwolone ubicie zająca — na co pan „postenführer“, żyjący „na bakier“ z panem starostą, koniecznie nastawał.

Biedny zając miał być na fundusz ubogich w drodze publicznej licytacyi sprzedany, ale nim do tego przyszło, zjadły go koty.

* * *

Tak się skończyło na razie myśliwstwo pana Heliodora, ale w dalszym ciągu wywołało następstwa wielkiej doniosłości.

Pan starosta, widząc urzędowego referenta spraw myśliwskich tak srodze skompromitowanym, udał się do Jego Ekscelencyi z prośbą, aby panem Heliodorem inny powiat uszczęśliwiono — i pan Heliodor znalazł się po ośmiu tygodniach o trzydzieści mil od dotyczasowego miejsca swego pobytu.

Był on tem bardzo zdziwiony, mniemał bowiem dotychczas, że do przestrzegania ustaw są tylko zwykli śmiertelnicy obowiązani, lecz że urzędnikom wolno je przekraczać, jak im się tylko podoba.

Panna Niusia widziała także niesprawiedliwość losu w tem postąpieniu Jego Ekscelencyi, zwłaszcza, że ojca jej również za panem Heliodorem nie przeniesiono — ale szaraki, sarny i inna zwierzyna łowiecka zyskała na tem tyle, że w siedzibie łowieckich wypraw pana Heliodora zwrócono uwagę na najgorsze stosunki łowieckie naszego kraju, i że dziś istnieje tam zawiązane na podstawie statutów „Kółko myśliwskie“, które racyonalnie sprawy myśliwstwa ocenia i zamiast strzelać na prawo i na lewo i o każdej porze roku, przedewszystkiem o tępienie drapieżców, o poskramianie kłusownictwa i o racyonalne mnożenie i ochronę zwierzyny łowieckiej się stara. *St.*

ŁOWIEC POLSKI W INDYACH.

(Dokończenie.)

Ostatnią wyprawą myśliwską hr. J. Potockiego w Indyach było polowanie na antylopy z pomocą lamparta myśliwskiego, i oto, co o niem pisze:

„Już w średnich wiekach chita chunting uchodził za fawory talną zabawę indyjskich książąt i Maharadżów, dziś się ten oryginalny sport tylko u dwóch z nich, to jest u Gujkowara Barody i Nizama Hayderabadu, zachował.

Lampart myśliwski (*Felis jubata*), po krajowemu „chita“, stanowi odrębny rodzaj felida, znajduje się w dzikim stanie w całych Indyach i w sposobie życia do pantery jest podobny, na pierwszy rzut oka jednak, można go od pantery odróżnić. Na wysokich nogach, w ciele wąski i smukły, głęboki w łopatce i silnie w zadzie rozwinięty, gdyby nie łeb koci, do potężnego charta byłby podobny. Łeb ma mały i okrągły, zęby krótkie, równa się wielkości średniej pantery, różni się jednak od niej gęstszemi, czarnemi centkami na tle rudem, prawie ceglastem. Wogóle robi wrażenie więcej psa niż kota. Z wierzchu na karku i wzdłuż krzyża między łopatkami, ma jakby grzywę z dłuższych włosów złożoną, (stąd *Felis jubata*), zresztą włos ma krótki, jak u pantery. Jedynie lamparty w Himalajach żyjące odznaczają się miękkim, dłuższym włosem, znacznie jaśniejszym jak u zwykłych. W centralnych Indyach żyją ludzie, krajowcy, trudniący się specyalnie łowieniem lampartów i układaniem ich do polowania; wytresowane zwierzę za wysoką cenę Maharadżom sprzedają.

Aby lamparta do polowania ułożyć, należy go złapać wyrosłym i do duszenia zwierzyny na własną rękę wprawionym; jak go oswajają i uczą, nikt mi nie był w stanie objaśnić.

Raniutko ruszyliśmy w to samo miejsce, gdzie kilka dni przedtem na antylopy polowałem; w miejscu zebrania czekał już lampart na wozie, w klatce, kapturem przykryty, kilku dojeżdżaczy konno i koń wierzchowy dla mnie przygotowany. Dosiadłszy konia zwróciliśmy w dżungle, obok wozu z lampartem, wołami zaprzągniętego, krokiem postępując. Niebawem ujrzeliśmy kupkę antylop; kilka łań z młodemi w pierwszej linii, dalej dwa słabe kozły, za niemi nieco dalej piękny czarny kozieł. Jeden z dojeżdżaczy zsiadł z konia i obok klatki na wozie się ustawił. Ledwo stanął koło lamparta, widać było pod kapturem, jak tenże, jakby niepokoić się zaczął. Podjechaliśmy o jakie 300 kroków do antylop, które, nie zważając na nas, spokojnie dalej się pasły, Wtem dojeżdżacz, otworzywszy klatkę, szybkim ruchem ściągnął kaptur z lamparta, zwróciwszy go poprzednio łbem ku antylopom. Stał sekundę jak wryty, oczyma łypnął, jakby do raptownego blasku słońca chciał się przyzwyczaić i zoczywszy antylopy, wyskoczył zręcznym ruchem z klatki i wozu i jak piorun w błyskawicznych susach pomknął ku nim. W życiu mojem takiej szybkości u zwierza nie widziałem; zdawało się, że nie biegnie po ziemi, lecz jakby potężnemi sprężynami podrzucany, w powietrzu się miga.

Zdaje mi się, że na krótki dystans, lampart myśliwski jest najszybszem zwierzęciem na świecie. Zgłupiałe antylopy w pierwszej chwili nie wiedziały co się dzieje i lamparta na 50 kroków dopuściły; ten był już niemal pod niemi, gdy się łanie do ucieczki zerwały, biorąc między siebie trzy kozły pasące się w oddali. Śliczny to był widok, niestety, nie trwał długo; lampart, dogoniwszy stadko, z zadziwiającym sprytem minął łanie i słabsze kozły i puścił się za starym, czarnym kozłem, który, wysforowawszy się naprzód, mknął jak strzała. Nie pomogło mu to jednak: po kilkuset krokach dopadł go lampart i zaskoczywszy go z przodu, chwycił za gardło. Oba runęli na ziemię. Gdy z dojeżdżaczem konno dopadliśmy, leżał kozieł na wznak wywrócony, w ostatnich podrygach, a obok przyczajony, z wpitemi w kark ofiary zębami, leżał lampart; krwią mu ślepia nabiegły, mruczał chrapliwie, długim ogonem bijąc o ziemię. Dojeżdżacz założył mu na kark żelazną obrączkę i w bok nieco odciągnął, poczem szybkim ruchem dobiwszy kozła, schwycił w miseczkę krew z rany się sączącą i podstawił lampartowi. W ten sposób się postępuje chcąc dalej polować, gdy się zaś na jednej sztuce zamierza poprzestać, karmi się lamparta od razu, całą antylopę do pożarcia mu dając. Wzięliśmy w ten sam sposób drugiego kozła, z tą chyba tylko różnicą, że całe polowanie jeszcze króciej trwało i lampart nie dał antylopie więcej jak 150 kroków chodu.

Polowanie takie ciekawem jest do widzenia raz jeden, tem więcej, że na świecie tego nigdzie nie zobaczy; okrutny to jednak sport, który może indyjskim Maharadżom, zamiłowanym w krwawych igrzyskach, się podobać, lecz dla myśliwego à la longue mało przedstawia uroku. Ofiara nie ma szansy ucieczki, chyba gdy lampart zmęczony, najedzony, lub gdy mu się polować więcej nie chce. Jeżeli go dojeżdżacz puści w tym stanie, a lampart po pierwszych susach uczuje, że mu nie idzie, stanie jak wryty, jakby zniechęcony i krokiem dalej nie ruszy. Wogóle zwierz dosyć jest oswojony, nawet obcym głaskać się daje; mówią, że czasem tak się do człowieka przywiąże, że jak pies, wolno za ludźmi chodzi.

9. kwietnia. Ostatni dzień pobytu w Hayderabadzie użyłem na wycieczkę do Golkondy. O dziesięć mil od stolicy Nizama, wznoszą się na szczycie skalistej góry, jakby ruiny jakiegoś burgu nadreńskiego, ciemne mury rozpadłego zamku i starożytnej fortecy, której założenie w mgle wieków się gubi. Dziś z zamku pozostały tylko zewnętrzne ściany, z ruin dawnej fortecy mały forcik wzniesiono; pilnuje go dzień i noc oddział wojska Nizama. Wstęp do wnętrza wzbroniony, tam bowiem ma się znajdować skarbiec królewski.

Ze szczytu góry widok wspaniały na leżący tuż obok muzułmański cmentarz i groby dawnych władców i potentatów tego kraju. Kilka pysznych mauzoleów, białe kopuły napół rozpadłych grobowców, królewska necropolis, ruiny fortecy i legenda o skarbach i bogactwach, oto wszystko co zostało z „Golkondy superby“; wokoło smutno i ponuro, wieczny spokój i milczenie tu pannje; sam krajobraz martwy i pusty zdaje się harmonizować z zamarłą przeszłością tej niegdyś świetnej królewskiej rezydencyi.

Opodal pod fortem Assur Jung ładną willę sobie wystawił i na letnie mieszkanie niekiedy tu zjeżdża. Jedyny to punkt w całej Golkondzie nieco weselszy i ożywiony. Wiedząc o mej wizycie, przybył tu naprzód i u siebie mnie przyjął.

Na południe od Golkondy o mil kilkanaście leżą tak zwane dyamentowe pola, które niegdyś słynęły bogactwem kopalni dyamentów i Golkondzie nadały sławę bajecznych

bogactw i największych skarbów na Wschodzie. Najpyszniejsze brylanty świata, znane Grand Mogol i Kohinoor, z Golkondy pochodzą, oddawna jednak myślano, że się kopalnie wyczerpały i kilka dziesiątków lat dyamentowe pola leżały odłogiem. Dopiero w ostatnich kilku latach utworzyło się angielskie towarzystwo exploatacyi rzeczonych pól, które nanowo rozpoczęło poszukiwania i uzyskawszy koncesyą od rządu Nizama, racyonalnie kopaniem dyamentów się zajmuje. Widziałem wiele okazów ostatnich poszukiwań; dyamenty nader czystej wody, lecz jak dotąd zbyt drobne, mówią, że głębiej większe sztuki się znajdują.

10. kwietnia. Pożegnałem państwa Newillów spiesząc do Bombayu, skąd nazajutrz miałem do Europy odpłynąć. Był to koniec mej podróży, z żalem wsiadłem na okręt, z żalem żegnałem z pokładu niknące mi z oczu brzegi indyjskiego lądu. Im dalej od niego, tem chętniej i częściej myśl się wraca na ten Wschód daleki, do uroczej krainy wiecznego słońca, do cudów odmiennego świata i czarującej przyrody".

* * *

Na tem kończy się dziennik podróży hr. Józefa Potockiego. Jesteśmy pewni wdzięczności naszych czytelników za to, żeśmy im podali tak obszerne wyciągi z książki, która tylko dla szczupłego grona znajomych została wydrukowaną, a zasługuje, jako jedna z najciekawszych relacyj podróżnych, na jak najszersze rozpowszechnienie.

Miejmy zresztą nadzieję, że szanowny autor nie zamknie swej literackiej czynności na tej książce, że szczególniej literaturę łowiecką wzbogaci jeszcze niejednem wspomnieniem i niejednym opisem, do czego częste jego łowy na najrozmaitszą zwierzynę, dostarczają mu tak wiele ciekawych i tak na barwne pióro jego zasługujących materyałów.

SKRZYDLATE RABUSIE.

(Podług J. B. Brusskey'a).

Ptaki drapieżne, jak wiadomo, hodowcom gołębi w mieście mniejszą wyrządzają szkodę niż na wsi, gdzie, zwłaszcza na wiosnę i w jesieni, bardzo się z tego powodu liczba gołębi przerzedza. Szkody jednak, wyrządzane przez rozmaite drapieżniki wśród rodu gołębiego na wsi i w mieście, wyrównują się prawie, zważywszy, że nie jeden ptak w mieście wśród rozmaitych okoliczności daleko więcej jest wart, niż gromady gołębi wiejskich, których liczby właściciel nigdy prawie nie zna, a miejsca gnieżdżenia się wyszukuje czasami tylko dla wydobywania z nich młodych.

Biada jednak tym gołębnikom, które majętni właściciele wiejscy doborowymi gatunkami gołębi zasilają; tym bowiem grozi ustawicznie niebezpieczeństwo wyniszczenia przez krogulce, jastrzębie i sokoły.

Przed kilku laty miałem niedaleko Gracu posiadłość, o sto kroków od lasu oddaloną, w której chodowałem gołębie, a oto kilka spostrzeżeń jakie z tej chodowli gołębi mam do zanotowania.

Często bywałem świadkiem napadów, urządzanych przez ptaki drapieżne na gołębie i zauważyłem przytem, że niektóre z drapieżników chwytają gołębie w locie, inne znowu napadają takowe na dachach lub na ziemi. Przed napadem pierwszego rodzaju, trudno gołębie ochronić; w drugim wypadku, można czasem gołębiowi przyjść z pomocą.

Razu pewnego karmiłem na podwórzu gołębie i widocznie byłem przed okiem drapieżcy drzewem zakryty, gdyż nagle krogulec, nie widząc mnie, z błyskawiczną szybkością spuścił się na ziemię i mnie, przerażonemu, tuż z pod nóg prawie, porwał śliczną jesno-niebieską gołębicę, i skierował się z nią w stronę lasu. Nadzwyczaj szybkim był napad krogulca, lecz i ja szybko powziąłem plan uratowania ptaka ze szponów drapieżcy. Chwyciłem leżący na ziemi nieopodal drążek, złożyłem się nim jak strzelbą i krzyknąłem: „puf!" naśladując huk wystrzału. Na ten groźny huk porzucił krogulec gołębicę i jakby po postrzale skrył się na niedalekie drzewa. Gołębica spadła na ziemię, zaraz jednak wzleciała do gołębnika, gdzie ją następnie znalazłem, a na szczęście prócz kilku wyrwanych piórek i lekkiego zadraśnięcia na grzbiecie nic gorszego nie spostrzegłem.

Od tego dnia, gołębica ta stała się stróżką całego stadka. Jak tylko spostrzegła zdaleka jakiegoś większego ptaka, zaraz uciekała do gniazda, ostrzegając właściwym sobie głosem inne gołębie.

Innym znowu razem, gdy siedząc w oknie przypatrywałem się o sążeń może ponademną gruchającym na dachu gołębiom, przesunął mi się w powietrzu jastrząb gołębiarz tak blisko, że ruch powietrza od jego skrzydeł wyraźnie czułem na twarzy, a oprócz tego spostrzegłem, że chciwym, błyszczącym wzrokiem wpatrywał się w jednego upatrzonego już z góry gołębia, w ładną białą indyankę, która siedziała na szczycie dachu. I w istocie chwycił on ją, i w tejże samej chwili skrył się z nią po za domem tak szybko, że nawet mego silnego gwizdnięcia usłyszeć już nie był w stanie. Gwizd bowiem i krzyk lub wystrzał zniewalają zwykle drapieżcę do porzucenia łupu i do ucieczki

Drapieżne ptaki uderzają najwięcej na gołębie białe, żółte, jasno-niebieskie, ciemno-szare, zaś ciemno-czerwone i czarne rzadziej stają się łupem drapieżców.

Skoro jakiemuś drapieżcy raz się udało dostać gołębia z gniazda, to powtarza on wtedy napady swoje regularnie, a mianowicie najczęściej przed południem, między godziną 10 a 11; zaradzić zaś temu można, żywiąc gołębie przez 14 dni na strychu bez otwierania gołębników, gdyż inaczej nie można się od napadu ochronić.

Nieraz, ukryty prawie zupełnie, czychałem na drapieżcę ze strzelbą gotową do strzału, lecz nigdy wówczas nie zbliżył się on na odległość strzału, i w ogóle dnia tego już nie powracał.

Zadziwiającą tę ostrożność tłumaczy lud prosty w ten sposób, że drapieżca ów, podobnie jak wrona, czuje zapach prochu; bliżej się jednak zastanowiwszy, przypisać to trzeba jedynie niezwykle bystremu wzrokowi ptaków drapieżnych i nabytej z doświadczenia zdolności odróżniania zwykłego wieśniaka lub podróżnego, od strzelca.

Ptaki drapieżne urządzają częstokroć wspólne polowania na stada latających gołębi. Razu pewnego, wracając z biura do domu, ujrzałem na jakich 50 kroków od domu moje stadko gołębi krążące w powietrzu, gdy wtem z dwu stron naraz zjawiły się dwa krogulce i każdy z nich tak łatwo chwycił gołębia, jakby bułkę wyjął z koszyka. Gołębie nagłym a równoczesnym napadem z dwóch stron tak były przerażone, że nawet nie usiłowały umykać. Na nieszczęście była to właśnie para cennych gołębi, które niedawno przedtem z Hamburga sprowadziłem.

Niektóre gołębie są w locie niezwykle zwinne. Pewnego dnia nieopodal domu obserwowałem, jak kobuz, wpadłszy między gołębie, godził na jednego z nich, czerwonego samczyka, nie zdoławszy go jednak odrazu pochwycić. Całe stado szybko umknęło do gołębnika; czerwony samczyk wszakże nie poszedł ich śladem, czując, że byłby straconym; owszem, zaufawszy swym lotkom, wzbił się ponad kobuza, i wzlatywali kołując coraz wyżej i wyżej tak, że wkrótce tylko dwa czarne punkty widziałem, a wreszcie i te w obłokach znikły.

Działo to się rano o godzinie $^1/_2$ do 8. Po południu około 3 wrócił biedny samczyk do domu i widocznie zmęczony, nie opuszczał już gołębnika. Jak wysoko oba ptaki wzleciały, nie wiem, że jednak gonitwa ta kobuzowi wreszcie się uprzykrzyła, to poznałem po powrocie gołębia, którego uważałem za straconego.

Jeden z mych gołębi pocztowych powrócił raz ze swej wycieczki strasznie na grzbiecie obskubany. Oglądając go bliżej poznałem, że wyrwał się ze szponów kobuza; w jaki jednak sposób uniknął śmierci, tego odgadnąć nie mogłem; tyle tylko mogę zauważyć, że był to gołąb dwuletni, jeden z najsilniejszych mych gołębi pocztowych.

Pewnego dnia byłem naocznym świadkiem, jak jastrząb gołębiarz, zapędziwszy się do moich pawiaków, które w wielkiej klatce drucianej na słońcu się wygrzewały, a nie widząc siatki drucianej, zaplątał się w nią szponami, lecz nie można go było mimo to schwytać, gdyż po kilku sekundach uwolnił się z nieprzyjemnych więzów i przerażony umknął.

Z ptaków drapieżnych, te, które mają krótsze skrzydła, są w locie daleko szybsze i zwinniejsze od długoskrzydłych, i tem samem niebezpieczniejsze. Długoskrzydłe mają wprawdzie lot lżejszy, ale nie mogą za to z tak wielką siłą uderzać na upatrzony łup.

Jako myśliwy miałem nieraz sposobność przypatrywać się rozmaitym ptakom drapieżnym, ich napadom i sposobowi życia. Zasiadałem się na nie w budce z puhaczem i w ciągu 16tu lat, w którym to czasie ścisłą prowadziłem kronikę, zabiłem, prócz niezliczonej liczby wron, srok i t. p. także 123 sokołów, jastrzębi, kań, myszołowów i tem brałem krwawą zemstę za mordy wśród moich ukochanych gołębi.

Z tych wszystkich ptaków myszołów jest najmniej niebezpiecznym dla gołębi, jednak nie jest on znów tak niewinnym, jak go Brehm przedstawia. Chociaż niszczy on, jak Brehm twierdzi, w jednym roku tysiące myszy, to przecież z powodu swej ociężałości i nieporadności poluje na nie tylko wtedy, gdy mu się nie uda napad na zajączka lub kuropatwę, zupełnie tak jak lis, który nie tylko na myszy, lecz nawet na szarańczę poluje, jeżeli nic innego złowić nie może, a przecież nikt lisa do pożytecznych zwierząt nie zaliczy!

Aby moje powyższe zdanie o myszołowach uzasadnić, muszę tu przytoczyć dwa wypadki, których sam byłem świadkiem.

Razu pewnego, jadąc konno przez wielkie łąki między Lanzendorfem i Laxenburgiem, ujrzałem może na jakich 300 kroków przed sobą jakiegoś ptaka drapieżnego, który nagle spuścił się na ziemię. Zwróciłem na to uwagę mego towarzysza przejażdżki, ten jednak nie przypuszczał, by ptak zapadł na ziemię w celu schwycenia jakiegoś łupu. Założyłem się więc z nim i ujrzałem niebawem, że ptak na ziemi coś szarpie. Szybko podjechałem ku temu miejscu; ptak, zobaczywszy mnie, wzleciał w górę, lecz w tej chwili upuścił coś na ziemię. Poznałem natychmiast myszołowa — a zsiadłszy z konia, podniosłem z ziemi porzuconą przez drapieżcę zdobycz. Cóż to było? Młoda kuropatwa, jeszcze ciepła, na karku oskubana i rozszarpana pod skrzydłami.

Jako trofeę wygranego zakładu oddałem ją memu towarzyszowi. Najlepszem jednak z całego tego zajścia było to, że, uniosłszy się w górę, myszołów leciał za mną w kilkosążniowej wysokości, oczekując zapewne, że porzucę odebraną mu kuropatwę.

Innym znowu razem, będąc na polowaniu na kuropatwy na polu kukurudzianem, ujrzałem jakiegoś wielkiego ptaka, który krążąc spokojnie w powietrzu, spuścił się nagle między kukurudzę w odległości jakich 500 kroków odemnie. Zapamiętałem sobie to miejsce, a gdyśmy się ku niemu zbliżyli, wystawił pies całe stadko kuropatw. Towarzysz mój ubił kuropatwę, a w tej chwili zerwał się także i myszołów, ten sam wielki ptak, którego przed chwilą obserwowałem, i który tu nie dalej jak na 80 kroków od stadka kuropatw wysiadywał. Powitałem go strzałem — niestety bezskutecznie! Ponieważ jednak byłem pewny, że ptak ten nie dla odpoczynku zapuścił się w kukurudzę, przeto kazałem mojej suce dokładnie całe pole przeszukać, a ta wyniosła po chwili młodego, jeszcze ciepłego zajączka, z którego myszołów wyżarł serce i wątrobę. W obu wypadkach nie było to złudzeniem, że „niszczyciel myszy“ rozumie się na takich specyałach, jak zające i kuropatwy, i umie na nie zapolować.

Mieszkańcy miast zwykle obwiniają pustułkę *(Falco tinnunculus)* o tępienie gołębi, jakkolwiek ona mało kiedy jest winną, a to z tego powodu, że nie jest w stanie zmódz gołębia, który mało co mniejszy jest od niej a często nawet przewyższa ją co do siły. Nieporozumienie to co do właściwego szkodnika powstało stąd, że hodowcy gołębi w mieście widują często, iż rabuś wylatuje z jakiejś sąsiedniej wieży lub wraca tam, aby porwanego gołębia udusić. Drapieżcą tym jednak nie bywa pustułka lecz zwykle krogulec lub jastrząb gołębiarz, który się także czasem w kamiennych szczelinach gnieździ i stamtąd do sąsiednich gołębników zagląda.

Właściwa pustułka która tylko myszami a co najwięcej wróblami się żywi, gnieździ się często wśród dziko żyjących gołębi wcale ich nie napastując, trzyma się również chętnie wieżyc wiejskich kościołów, gdyż te zazwyczaj położone są bliżej pól, obfitujących w myszy i inne drobne gryzonie.

W dolnej Styryi obserwowałem raz na drodze do Neuhaus pustułkę, wlatującą i wylatującą ze szczeliny pod dachem kościoła. Dwoje starych żywiło swe młode siedzące na gzymsie, a narachowałem ich około 20 sztuk. Była to formalna kolonia, pstra i ruchliwa, która jak mi mieszkańcy tamtejsi mówili, od wielu już lat to samo miejsce zamieszkuje i uwalnia sąsiednie pola od natrętnych pasożytów.

Kanie bywają zazwyczaj także daleko niewinniej przedstawiane, niż są w istocie. Ja sam przychwytałem raz kanię małą czyli błotniaka, jak wyjadał młode kaczęta z gniazda, nie mówiąc już nawet o tem, jak wielką szkodę wyrządza przez wyżeranie jaj ptactwa wodnego.

Nieraz miałem sposobność obserwować, że skrzydlate rabusie podejmują się czasami zadań, którym potem nie mogą podołać; i tak, widziałem raz krogulca, który w ciągu polowania kociołkowego uderzył bezczelnie na starego zająca, pomimo, iż na tem samem polu stało kilku strzelców. Również pokazywano mi w pewnej wsi górskiej jastrzębia, który w bramie domu zajezdnego w gonitwie za kurą został schwytany. Jastrząb ów napadł kurę w podwórzu, ponieważ jednak ta była zbyt ciężką, nie mógł wznieść się z nią do góry. Kura więc z jastrzębiem na grzbiecie, przeraźliwie wrzeszcząc, wbiegła do bramy; ktoś obecny tamże, bramę natychmiast zatrzasnął i w ten sposób rabusia żywego schwytano.

Również pokazywano mi raz żywego krogulczyka, który w pościgu za wróblem zapędził się przez okienko pod dach domu i przez obecnego tamże stróża, po zamknięciu okna, został ujęty.

Po tylu przykładach, jakie przytoczyłem, sądzę, że nie powinno się zupełnie ochraniać tych wsystkich ptaków drapieżnych. Mają one wprawdzie szlachetną postawę, wielką inteligencyę i odznaczają się pięknym lotem, lecz z drugiej strony tyle mają złośliwych własności i nawyczek, że zawsze i wszędzie należy im wojnę wypowiadać i tępić bez miłosierdzia.

(Z *Mitth. d. ornit. Ver.* przeł. J. St.)

Mowa małp.

W ostatnim numerze „Łowca“ zamieściliśmy wzmiankę o doświadczeniach prof. Garnera, Amerykanina, zmierzających do zbadania i nauczenia się języka, którym małpy między sobą się porozumiewają. Próby te są tak ciekawe — przypuściwszy z góry, że w tem, co raportuje prof. Garner nie ma myśliwskiej łaciny — że warto w obszerniejszym wyciągu powtórzyć relacyę amerykańskiego profesora.

Będzie temu lat siedm — opowiada dr. Garner w *New Review* — doznałem żywego zdumienia w ogrodzie zoologicznym w Cincinnati, patrząc na zachowanie się jakiego tuzina niewielkich małpek, które sąsiedztwo ogromnego mandryla o czerwonym nosie, z gatunku cynocephalów, bezmiernym przejmowało strachem. Zwierzątka te, przytuliwszy się w kącie klatki, obserwowały z drżeniem najmniejsze ruchy potwora i co chwila zdawały najwidoczniej sprawę z tych ruchów małpom z sąsiedniego przedziału, które mandryla już nie widziały, ale z natężoną ciekawością słuchały tych zwierzeń, wyglądając w milczeniu coraz to nowych wiadomości.

Takie było moje wrażenie.

Jakoż to natężenie uwagi ze strony małp słuchających, powtarzanie od czasu do czasu jednakich dźwięków dyskretnych a piskliwych przez małpiątka obserwujące mandryla i wrażenia, jakie te dźwięki na sąsiadujące małpki wywierały, odrazu nie pozwoliły mi wątpić, że mam przed sobą zjawisko, które oddawna pochwycić pragnąłem, że znajduję się wobec „języka zwierzęcego mówionego“. I odrazu powziąłem też zamiar zbadania bliżej tego zjawiska, podsłuchania tego języka, zrozumienia go, a może i przyswojenia go sobie, jeżeli to będzie możliwem.

Najpierwszą i główną trudnością w tem przedsięwzięciu było oryentowanie się w dźwiękach tego nowego całkiem dla człowieka dyalektu, oraz izolowanie tychże dźwięków, mieszających się ze sobą w sposób zawiły; drugą niemałą trudność stanowiło zapamiętanie tych dźwięków całkiem napozór niezrozumiałych, aby je później dokładnie samemu powtórzyć było można.

Pierwsze próby w tym kierunku okazały się płonnymi. Starałem się z możliwą dokładnością odtwarzać słyszane przez siebie dźwięki i zdawało mi się, że czynię to doskonale, — małpy jednak nic a nic mię nie rozumiały. Myślałem co począć i byłem już zniechęcony, gdy nagle przyszło mi na myśl uciec się do pomocy fonografu. Mając doskonały egzemplarz fonografu, nastawiłem go w chwili, kiedy małpy rozmawiały wedle mnie pomiędzy sobą, poczem zamknąwszy się z aparatem, począłem pracowicie analizować pochwycone przez aparat dźwięki. Zrobiłem postęp: niektóre z nich już rozumiałem i zdołałem je bezbłędnie naśladować.

Tej metody się trzymając, i korzystając z uprzejmości dyrektora ogrodu zoologicznego w Washingtonie, który pozwolił mi odbywać doświadczenia i próby na szerszą skalę, doszedłem niebawem do tego, że mogłem służyć za pośrednika i tłómacza między dwiema małpkami tego samego gatunku, rozdzielonymi i zamkniętymi w oddalonych od siebie klatkach... Język zwierzęcy mówiony stał się odtąd dla mnie faktem oczywistym, niezbitym.

Opowiem bliżej to doświadczenie.

Dwie małpki płci odmiennej przez dość długi przeciąg czasu mieszkające w jednej klatce, rozłączyłem i umieściłem w oddzielnych klatkach i pokojach. Ustawiwszy fonograf przy samicy, chwytałem wszelkie echo jej pisków i poruszeń, skoków wyrażających radość i jęków, będących odbiciem smutku lub tęsknoty. Następnie przenosiłem fonograf do samca i obserwowałem z natężoną uwagą, jak się wobec wynurzeń aparatu zachowa: rozumiał wszystko.

Cały szereg podobnych doświadczeń, powtarzanych niezmordowanie, dał mi poznać i wyuczyć się w głównych zarysach narzecza, w którem te obie małpki ze sobą się porozumiewały. Stopniowo doszedłem do tego, że sam zastępowałem fonograf, chwytając na ustach małpiątek usłyszane dźwięki i wrażając je w pamięć przez powtarzanie. Aż nareszcie postanowiłem spróbować swej wiedzy i przemówić do moich znajomych ich własnym językiem, teraz już dobrze rozumianym.

Niepodobna wyobrazić sobie nic zabawniejszego nad głębokie zdumienie, nad osłupienie, jakie wywarły na tych czwororęcznych pierwsze zdania, wymówione przezemnie w ich języku. Zrazu nie chciały wierzyć swym uszom, trzęsły główkami, przypatrując mi się z uczuciem niewysłowionej ciekawości. Kiedy jednak przekonały się, że tak jest istotnie, że to ja mówię, uczucie to ustąpiło miejsca nieopisanej radości, rozpoczęły się szalone skoki od ściany do ściany, piski oznaczające wesołość i radość bez granic.

Najpierwszy wyraz, jaki przyswoiłem sobie z dyalektu małpiego, oznacza „mleko“. Przekonałem się jednak niebawem, że wyraz ten stosuje się również do wody i że ozna-

cza on prawdopodobnie wogóle „to, co się pije“. Odpowiedni termin na „to, co się je“ jest również generycznym i nie stosuje się do takiego lub innego rodzaju pożywienia.

Trzeci wyraz bardzo często przez czwororęczne powtarzany oznacza „rękę“, dalej idzie frazes „jaka jest pogoda“, co dowodzi, że nietylko w niektórych człowieczych salonach stanowi on pożądany motyw do „konwersacyi“...

Dr. Garner podaje w swej pracy reprodukcyą graficzną tych i innych dzwięków, oraz prozodyą ich i tonacyą muzyczną. Pod tym ostatnim względem dyalekt małp przedstawia olbrzymią trudność dla krtani ludzkiej, wszystkie bowiem jego dźwięki brzmią przeważnie w tonie A z krzyżykiem (nie b mol).

Jeden z dźwięków, opisanych szczegółowo przez uczonego profesora, zdaje mu się mieć znaczenie przeraźliwe, straszliwe dla małpiego rodu, oznacza on może „grozę śmierci“ lub „niebezpieczeństwo śmierci“. Dr. Garner nie rozumie go jeszcze dostatecznie, wie tylko, że wywiera on na małpiątkach piorunujące wrażenie.

Kiedy pierwszy raz profesor wyrzekł to fatalne, kabalistyczne, małpie słowo do małpki oswojonej, domowej, poczęła drżeć lękliwie na całem ciele i miejsca sobie znaleść nie mogła. Nazajutrz, karmiąc ją łakotkami i głaszcząc pieściwie, powtórzył to słowo. Zwierzątko skoczyło jak oparzone i schroniło się na najwyższą grządkę pod pułapem, spoglądając z trwogą dokoła. Kiedy zaś profesor jeszcze raz to słowo wymówił, małpka poczęła biegać po całem mieszkaniu, jak szalona, szukając, którędyby uciec. Od tej chwili, ilekroć dr. Garner się ukazał, zeskakiwała ze swej kryjówki i uciekała do przyległych pokoi. Po kilku miesiącach zaledwie i po usilnych staraniach ze strony profesora, dawna komitywa wróciła, ale żadną już miarą małpiątko nie dało się nakłonić do tego, aby jeść z ręki profesora.

Dr. Garner prowadzi w dalszym ciągu studya lingwistyczne z innymi gatunkami małp, ale już nie wymawia fatalnego alarmującego wyrazu, aby nie zrazić swych przyjaciół, od których tyle nauczył się i nauczyć może.

Z całości studyów, dotąd przez się dokonanych, nad dyalektem małp, wywodzi profesor Garner następujące wnioski ostateczne:

Język małp składa się z ośmiu lub dziewięciu dźwięków zasadniczych, które przy pomocy modulacyi tworzą kilkadziesiąt wyrazów, z pomocą mimiki dających możność określenia wszelkich stanów i usposobień mówiącego.

Każdy gatunek ma swój język odrębny, rozgałęziony w dyalektach. Dźwięki zasadnicze nie mają bynajmniej wspólnego znaczenia we wszystkich językach.

Małpy różnego gatunku, zamknięte w jednej klatce, wprędce rozumieją się nawzajem, ale jedna języka drugiej nigdy się nie wyuczy, każda mówi po swojemu.

Podczas mowy wargi małpek ruszają się mniej więcej tak, jak ludzkie.

Małpy mówią bardzo oszczędnie. Bez potrzeby żadna się nie odezwie.

Małpy rozumieją stosunek, zachodzący między przyczyną i skutkiem; rozumowanie ich i logika różnią się od naszej ludzkiej logiki, ale nie co do jej natury, lecz co do poziomu jedynie.

Tyle mówi profesor Garner, a kiedy się rozważy jego konkluzye, można doprawdy żałować, że człowiek utworzył z małpy epitet, rzekomo uwłaczający bliźnim jego. Bardzo to niezasłużone... dla małp, które pomimo niższości logiki, wzorem byćby mu nieraz mogły, mówiąc zawsze po „swojemu“, nie popisując się z francuszczyną krowy hiszpańskiej, ani też „nie odzywając się nigdy bez potrzeby“, i mówiąc zawsze „oszczędnie“... *W.*

KORESPONDENCYE.

Koszarki w lipcu 1891.

(Z biografii kaczki).

„Zbytecznym gałgankiem, przyczepionym gdzieś w rąbku szaty“ mej pracy „o kaczkach dzikich“, nazywa szanowny autor korespondencyę swą w Nrze 6 „Łowca“ str. 92. 1891, podczas gdy dla mnie jest ona w części subtelnem uzupełnieniem tajemniczego życia kaczki, a więc nie „gałgankiem zbytecznym“, ale piękną draperyą w tem miejscu, gdzie w słabej chwili wiedzy a pięknej serca umiałem w pracy mej przepłynąć cicho i lekko, gdyż wstydliwa natura mgłą tajemnicy się okryła — w części zaś daje korespondencya z Kolbuszowy sposobność do wymiany zapatrywań i zdań o objawie w przyrodzie, a tem samem staje się powodem do zbliżenia się do wspólnego celu naszego, do poznania prawdy.

Jako słuszny uważam domysł sz. korespondenta, iż kaczęta, które mu szczęśliwy przypadek dozwolił obserwować w stanie na grzbiecie przewróconym, mogły się przypadkiem poprzewracać, mylnem natomiast wydaje mi się równocześnie wyrażone przypuszczenie, iż matka je z umysłu poprzewracała, aby się nie rozbiegły, a niemniej mylnym wniosek, iż w skutek tego kaczęta przeraźliwie piszczały. Że z miękkiego i ciepłego posłania gniazda na chłodną i może mokrą, chropowatą lub twardą powierzchnię ziemi zniesione pisklęta, objawiają piskiem niepokój, to przecież rzecz naturalna; niepokój w tym razie objawia każdy twór, a tem bardziej musi on mieć miejsce u piskląt kaczki, gnieżdżącej się na drzewie, po nad ogólny zwyczaj rodu. Rozsądkiem powodowany ten krok matki, o ile zachowawczo działa na ród kaczy, o tyle stawia raptem pisklęta, zaraz na progu nowego życia, w żywiole zupełnie obcym naturze rodu, stawia je na lądzie, na którym czują się obcymi, niezgrabnymi, gdzie walczyć muszą z byle jaką przeszkodą, i łatwo przewracają się, a to wszystko wywołuje niepokój i trwogę, które dla nas w jedynie zrozumiałym pisku objaw swój znajdują.

Badanie życia kaczki dzikiej, u której w rozmaitych stadyach rozwoju sprawdziłem niezwykłą dozę zmysłu zachowawczego, objawiającego się już u pisklęcia niezwykłą krewkością i ruchliwością, nie mogły mnie wprowadzić na domysł, (zwłaszcza, że niczego w tym względzie sam nie dostrzegłem), aby kaczka za pomocą umyślnego przewracania piskląt na grzbiet, po zniesieniu z gniazda, rozbieganiu się ich musiała zapobiegać, aby w ogóle musiała czuwać, iżby kaczki, jak niedołężne, mazgajowate, zawsze za niańką oglądające się szczepki panów tej ziemi, gdzieś się w krzakach nie pogubiły. Gdy w dodatku jeszcze próby dość nieprzyjemne, bo z męczeniem biednych wyłupków połączone, upewniły mnie, iż możność odwrócenia się kaczęcia zależy wiele i od terenu i od indywidualnej właściwości i temperamentu pi-

sklęcia, (które się różnią tak samo jak i u wysoko organizowanych istot) przyszedłem wreszcie do przekonania, że sposób ten przez kaczkę w celu zapobieżenia rozbiegania się płodu używanym być nie może, zwłaszcza, iż zwierzęta w ruchach i w głosach posiadają doskonały, a niestety tak mało nam jeszcze znany sposób wyrażania swych myśli — bo zdolność ta jest właściwą wszystkim, świadomością obdarzonym tworom.

Przewracanie piskląt z umysłu przez matkę, byłoby więc jakimś rodzajem „fortwurstlowania", a tego nie zna przyroda, są tam radykalne w zastosowaniu środki, a środeczki i półśrodeczki, to chyba wyłączny przywilej koron stworzenia.

Łaskawie podane spostrzeżenie sz. korespondenta pouczyło mnie tylko, że kaczka dzióbem dopomaga przewróconym przypadkowo niedołężniejszym pisklętom i stawia je w ten sposób na nogi — szczegół, którego nie zdołałem dopatrzeć w całem mojem życiu.

Co do drugiego szczegółu, naprowadzonego przez sz. korespondenta, to przyznaje się, że po kilkakroć miałem sposobność oglądać kaczkę nieżywą, która w zaciśniętym dzióbie trzymała jakiś przedmiot z wegetacyi podwodnej, a ostatni tego rodzaju wypadek obserwowałem na stawisku Brzezieckim (pow. Rudki) w r. 1884. Znalazłem tam pływający na wodzie kadawer krzyżówki z zaciśniętym silnie w dzióbie kawałkiem korzenia rogoziny *(Typha)*, już mocno ztorfiałym i czarnym jak węgiel. Śladów postrzału nie mogłem wszakże odkryć na trupie, który już mocno był dotknięty rozkładem, a pływał wśród dość gęstej zarośli, w $^2/_3$ z wody wynurzony i wzdęty gazami rozkładu.

Lecz czyż fakt ten, jako też inne tego rodzaju, znane światu łowieckiemu, mogą nas uprawnić do przypuszczenia, iż są to ofiary właściwego kaczkom fortelu, skierowanego do samobójstwa? Taki fortel w naturze zdrowej istnieć nie może, a objawy skierowane do zniszczenia indywidualności, wyrastają na gruncie chorobliwie zwichniętej równowagi w organizmie.

Możności lotu pozbawiony ptak, upadłszy na wodę, stara się o ile mu sił staje, bodaj w tym, tak mu dobrze znanym żywiole ratować życie nurzaniem. Wykonuje tu praktykę konieczności, podczas gdy lepsze od niego nurki a gorsze latawce, sposób ten zachowawczy przekładają nawet nad lot nieudolny.

Otóż co do mnie, jestem aż do zbytku przekonany, iż jedyną myślą zbarczonej kaczki jest ocalenie życia; bynajmniej nie nurtują w jej główce doktryny pewnej szkoły filozofów naszego wieku, według której utrata indywidualności jest oczywistym zyskiem. To też dała jej przyroda całą masę najrozmaitszych fortelów, aby zmylić ślady i ukryć się przed okiem prześladowcy, i nieraz w chwili, gdy ją posądzamy o śmierć samobójczą, o śmierć bohaterską, jakimi przepełnione są dzieje nie zawsze zdrowej ludzkości — pływa ona o kilkanaście kroków w gąszczy trzcin; może bolejąc, może brocząc krwią z lotów, ale pływa i wyczekuje chwili oddalenia się przebrzydłego psa i nieznośnego myśliwego — a jeśli uszka jej dojdą głośne przypuszczenia myśliwych na czółnie, to już wcale tego główka jej pojąć nie zdoła.

Jednak nie zawsze tak szczęśliwie kończy się dla kaczki bolesny wypadek; nieraz wśród pomieszania, wśród trwogi, wysilenia, huku strzału, plusku na wodzie, głosów obcych, gdy pies z szatańskim sprytem ciągle biednej kaczce siedzi na ogonie — nurkuje ona dalej w coraz to większe gąszcza, a wreszcie dostaje się w istny labirynt, w matnię korzenia i poplątanych łodyg. Gdy myśliwy na czółnie zachwyca się urokiem myśliwskich wrażeń, odbywa się tam w ciemnej toni wód, wśród gmatwaniny wegetacyi podwodnej, straszna walka ze śmiercią. Powietrza brakło, podpływa kaczka ku górze, ale raptem, zamiast dostać się na powierzchnię i zachwycić dzióbem tego eliksyru życia, dziób natrafia na gęstą nić korzeni i ziela, ptak się zaczyna szamotać, powtarza usiłowania bez skutku, i nareszcie, wśród szamotania się ciągłego, wysilona, na pół już bezwiedna, bo w tętnicach na pół już zkarbonizowana krew obiega, machinalnie chwyta dzióbem, i zamiast upragnionego powietrza, w ostatnich drganiach konwulsyjnie ściska pierwszy lepszy przedmiot na drodze spotkany, a ostre karbiki dzióba głęboko wciskają się w miękkie i soczyste korzenie lub łodygę. To śmierć z zaduszenia ze wszystkimi strasznymi objawami walki przedśmiertnej, do których i konwulsyjne kurcze należą.

Wiele w ten sposób zaginionych kaczek nie ogląda już nigdy światła dziennego; w wyjątkowych jednak wypadkach, po śmierci ptaka, wydostaje się spokojne już ciało z owego labiryntu, skąd szamotaniem się wydobyć nie mogło, bo natychmiast po śmierci, rozpoczynający się rozkład i wytwarzające się gazy prą ciało ku górze. Rozstępuje się tedy wątły kożuszek wodnej roślinności i kadawer z kawałkiem łodygi w pysku, jak nowa zagadka dla człowieka, ukazuje się na powierzchni wody. Innym razem ślepy przypadek zrywa sieć, utrzymującą ciało w głębi, albo żerdź czy wiosło lub t. p. i wynurza kaczkę nieżywą z kawałkiem rośliny podwodnej w dzióbie.

Z tego, co tu powiedziałem, wynika jasno, dlaczego w pracy mej „o naszych dzikich kaczkach" nie umieściłem spostrzeżenia, którego bynajmniej nie uważałem za cechę charakterystyczną rodu kaczego, lecz jako przypadkiem wywołany symptom agonii.

Być może, iż nieudolnie, ale według najlepszej mej wiedzy i najszczerszej chęci starałem się wytłumaczyć szczególniejszego rodzaju objaw, który mi niejedną godzinę snu odebrał. Czułbym się szczęśliwy, gdyby mnie kto lepiej potrafił pouczyć, i wskazał błędy, których może jako przyrodnik myśliwy, a nie jako specyalny patolog dopuścić się mogłem.

Władysław Spausta.

KRONIKA.

Rysie pojawiły się ostatniego roku w Karpatach morawsko-szląskich, gdzie ich dotychczas nigdy nie widywano. W lasach, należących do dóbr Hochwaldu, Frydeka i Rożnawy trafiały się już od półtora roku szkody w zwierzynie łownej, które wskazywały, iż jakiś niebezpieczny drapieżca obrał sobie tam siedlisko. Trop wskazał dopiero, że to rysie, lecz dłuższy czas były bezowocnymi wszelkie zabiegi, aby je dostać, gdyż zmieniały często miejsce swego pobytu. Nareszcie pod zimę zeszłego roku, w rewirze Mosty, należącym do państwa Cieszyńskiego, ubito rysia, samca, a d. 3. kwietnia b. r. w rewirze Ostrawica, na południowym stoku góry Smerek, obtropiono samicę i także ją ubito. Ważyła ona 19 kilogramów i była na 68 centym. wysoką a na 105 centym. długą.

Dla obrony psów zawiązało się w Londynie towarzystwo, które już dotąd mnóstwo liczy członków i znacznymi rozporządza funduszami. Celem towarzystwa jest: występować wszędzie przeciw okrutnemu obchodzeniu się z psami — w wypadkach wścieklizny sprawdzać i badać przebieg rzeczy — protestować przeciw zamykaniu psów i przeciw użyciu kagańców — domagać się od kolei żelaznych lepszego sposobu transportowania psów i obniżki kosztów transportu — wspierać wystawców i właścicieli psów, brać w obronę ich prawa względem komitetów wystawowych itp.

W Londyńskim przybytku, urządzonym dla chwytanych psów, w t. z. *Dogs-home*, było w ciągu r. 1890 21.593 psów przechowanych. Z tego zwrócono 1770 psów reklamującym je właścicielom, a 1600 sprzedano.

Kosztowny pies. W Londynie sprzedano tymi czasy za 1,250 funtów pysznego psa z góry św. Bernarda. Pies rzeczony ma w karku 90 centymetrów wysokości i waży 103 kilogramów.

Lwica na spacerze. O niezwyczajnym wypadku donoszą z Ramlervilliers. Gdy do miasteczka tego menażerya Pezona wjeżdżała, wóz, na którym znajdowała się klatka z lwami, uderzył o kamień przydrożny z taką siłą, iż zamek jednej z klatek pękł, z czego korzystając czteroletnia lwica, jednym skokiem znalazła się na ulicy, zapełnionej przechadzającymi się. Zaraz z miejsca rzuciła się na konia, zaprzęgniętego u wozu, a pokaleczywszy go, puściła się w szalonych susach przed siebie ulicą. Można sobie wyobrazić panikę, jaka wśród publiczności na widok lwicy powstała. Szczęściem nie stracili przytomności umysłu dozorcy menażeryi i uzbrojeni w pręty żelazne zagrodzili drogę dzikiej bestyi. W mgnieniu oka, lwica, wystraszona widokiem dobrze znanych sobie prętów, zatrzymała się w miejscu, poczem olbrzymim susem przeskoczyła dozorców i wpadła w rodzaj ślepej uliczki, bez wyjścia. Tutaj ją wnet zabarykadowano, obstawiając ujście uliczki uzbrojonymi żandarmami. Pezon zaś, ustawiwszy na bruku otwartą klatkę, pobiegł na piątro jednego z domów i tu jął strzelać na wiatr z okna. Sposób ten okazał się skutecznym, lwica bowiem zaraz po pierwszych strzałach, obejrzawszy się niespokojnie, jednym susem wskoczyła do klatki, którą za nią zamknięto.

Śmierć pogromcy. Z Londynu donoszą, że w menażeryi Brigdmana w Gunnislake rozdarty został przez lwa znany pogromca zwierząt, Tomasz Brigdman.

Sławne psy. Zamiłowanie sławnych ludzi do psów i objawy nadzwyczajnego przywiązania psów do ludzi, składają się na historyę o sławnych psach, którą możnaby całe tomy zapełnić.

Henryk III, król Francyi, wydawał setki tysięcy na utrzymanie psów różnego gatunku i nigdy się z nimi nie rozdzielał, tak, że nawet do kościoła brał psy ze sobą. Król angielski, Jakób II, kochał się w psach i przywiązanie swe dzielił pomiędzy nie a sławnego wodza ówczesnego, Marlborough. Raz, gdy był na morzu, zaskoczyła go burza. Oczywiście miał przy sobie ulubione swe pieski. „Dzieci — wołał do majtków — ratujcie moje psy i jenerała Marlborough!“ — O sobie samym całkiem zapomniał.

Nieszczęśliwa Marya Stuart miała małego, bardzo do niej przywiązanego pieska. Gdy ją prowadzono na ścięcie, wcisnął się on pomiędzy osoby ponurego orszaku i nie opuszczał swej pani, a gdy głowa jej padła pod ciosem katowskiego topora, zwinęło się psiątko i ułożyło pod całunem na ciele nieszczęśliwej królowej. Wkrótce groźny hr. Talbot przyszedł, aby zwłoki swej ofiary oglądnąć; wtedy ruszył się piesek i nieopisany przestrach ogarnął obecnych, sądzili bowiem, że ciało ściętej się porusza. Jeden z obecnych zemdlał, inni uciekali. Dopiero najodważniejszy Kent zbliżył się z pochodnią, aby przyczynę ruchów zbadać. Wówczas skoczyła na niego psina z całą zajadłością. Kent wydobył broń i chciał zrazu psa zabić, lecz rozrzewniło go to przywiązanie i dał mu spokój. Gdy królowę pochowano, psina skowyczała, wyła bezustannie i zdechła po trzech dniach, nie chcąc przyjmować żadnego pokarmu.

W rodzinie Habsburgów powtarza się stale zamiłowanie i przywiązanie do psów. Maksymilian I utrzymywał setki psów myśliwskich i przywiązywał wielką wagę do ich tresury. Toż samo Maksymilian II, któremu hr. Herberstein, poseł jego w Moskwie, przywiózł był znakomite psy myśliwskie w darze od Iwana Groźnego. Odwieczny podatek od psów ściąganym był podówczas umyślnie na utrzymanie licznych psiarni cesarskich.

Marya Teresa miała zawsze ulubione pieski, a to samo zamiłowanie odziedziczyła jej córka, nieszczęśliwa Marya Antoaneta, której teroryści r. 1793 nie dozwolili wziąść z sobą ulubionego pieska do więzienia.

Pincz Maryi Teresy stał się szczególnym powodem do wyszukania zdolnego męża stanu. Gdy cesarzowa, zwiedzając swe kraje, wsiadała raz na statek w Braunau nad Innem, usiłował jej dopomóc w tem właściciel statku. Usługa ta nie podobała się małemu pinczerkowi, którego Marya Teresa trzymała na rękach; z zaciekłem szczekaniem rzucił się na właściciela statku. „Cicho, Wasza Ekscelencyo! cicho!“ bronił się tenże, usiłując gniew pieska uspokoić, co znowu pobudziło cesarzowę do szczerego śmiechu, tem bardziej, gdy zapytany przez nią właściciel statku tłumaczył, iż był tego mniemania, że wszystkim, którzy cesarzowę otaczają, tytuł ekscelencyi się należy. Wesołe to intermezzo spowodowało Maryę Teresę do bliższego zajęcia się właścicielem statku, wzięła syna jego na wychowanie, a syn ów, odznaczywszy się niezwykłymi zdolnościami i postępami w naukach, wstąpił do słuźby rządowej i jako baron Thugut pełnił później obowiązki ministra spraw zewnętrznych na dworze wiedeńskim.

Historya wie także coś o chartach Frydryka Wielkiego; jeden z nich sypiał z nim nawet w łóżku i tylko z ręki pana brał pożywienie. Psom tym wolno było drzeć obicia na krzesłach i sofach, nie wywołując gniewu Frydryka. Owszem, był on dla nich względniejszym, niż dla ludzi i mawiał, że psy są do niego więcej przywiązane niż ludzie, a nadto nie mają żadnych ukrytych myśli. Dwie najzaufańsze charcice Frydryka zwały się Biche i Alkmena. Pierwsza z nich nie opuszczała ani na chwilę swego pana, a gdy raz Frydryk za długo w noc pisał, wyskoczyła na stół, wyjęła mu pióro z ręki i zniewoliła do spoczynku. Alkmena dostała się w czasie jednej z bitew do niewoli, lecz zdołała się z rąk nieprzyjacielskich wyzwolić, a wpadłszy do namiotu swego pana, obejmowała szyję jego łapami z radości.

Cesarz rosyjski, Aleksander II, był także wielkim psów miłośnikiem. Znanym był jego pies myśliwski Mylord, który go nigdy nie opuszczał, a nawet na posiedzenia Rady stanu mu towarzyszył. Noc przepędzał zawsze u nóg cesarza, koło łóżka. Gdy Aleksander II wybrał się w r. 1867 na wystawę wszechświatową do Paryża, zostawiono Mylorda w Carskiem Siole. Pies zatęsknił się tak za swym panem, że nie chciał nic jeść i niebawem zginął.

Następcą Mylorda był olbrzymi Nowofundlanczyk, który, tak jak znaczna część psów, tkliwym był bardzo na tony muzyki. Pewnego razu, gdy Henryk Wieniawski produkował się na skrzypcach przed Aleksandrem II, zaczął się Nowofundlandczyk niepokoić, i podszedłszy do skrzypka, podniósł się i oparł przednie łapy na jego udzie, jakgdyby prosząc, aby grać przestał. Gdy to nie pomogło, podnosił się coraz wyżej aż na ramię mistrza i coraz groźniej śledził każdy ruch jego smyczka. Cesarz przyglądał się temu z zajęciem, wreszcie zapytał Wieniawskiego, czy go pies nie żenuje. „Nie, Najjaśniejszy Panie! — odparł skrzypek — ale zdaje mi się, że ja jego żenuję!“ Aleksander II roześmiał się i odwołał psa do nogi.

Ostatnim może z najsławniejszych psów jest głośny w Niemczech pies Bismarka, „rajchshund“ Tyras, do którego żelazny książę tak był przywiązany, że mu po śmierci istne mauzoleum w parku we Friedrichsruhe urządził.

Gromadne polowania na kaczki odbywają się co roku w listopadzie, w zatoce Walencyi, w Hiszpanii. Polowania te są istnymi uroczystościami narodowymi. Ze wszystkich stron, z większych miast tej części półwyspu, gromadzą się liczni myśliwi i widzowie, mężczyźni i kobiety, i około miejscowości Sueca i Cullera wyczekują przybycia kaczek. Całą noc przed wschodem słońca przepędzają na zabawach i libacyach, i dopiero przy pierwszych brzaskach świtu wyrusza mnóstwo czółen na stanowiska między bujnymi trzcinami. Zatoka okrywa się o tej porze milionami odpoczywających w przelocie kaczek, a rozpoczęta z czółen kanonada sprawia między nimi krwawe hekatomby.

Na polowaniach w listopadzie r. z. padło ich około 20000, a niektórzy myśliwi ubili po 100 i 200 sztuk. Polowania te nie bardzo są bezpieczne. Pisma hiszpańskie tryumfowały, że na polowaniu d. 27. listopada r. z. nie było żadnego większego wypadku — i że tylko jednej pani oko wystrzelono.

Rekin. W morzu Adryatyckiem, koło portu tryesteńskiego, widziano przed kilkunastu dniami rekina na 3 i pół metra długiego, płynącego w kierunku Miramare.

W obronie krokodyli i aligatorów wystąpiły niektóre miasta Florydy i Luizyany w Ameryce i zagroziły grzywną 100 dolarów lub miesiącem więzienia każdemu, ktoby się poważył zabić aligatora lub krokodyla. I skądże ta czułość dla potwornych jaszczurów, kiedy przeciwnie, za ich tępienie raczej byłaby nagroda właściwszą? Otóż pokazało się, że w naturze wszystko harmonijnie kojarzy się i uzupełnia, że

więc aligatory i krokodyle, owe szkodniki budzące odrazę, okazały się także użytecznymi i potrzebnymi. W Luizyanie i Florydzie tępiono je namiętnie. Okazało się jednak, że tam gdzie wyginęły krokodyle, poczęły się mnożyć niesłychanie na wybrzeżach piżmaki i w ogóle norniki, będące plagą rolnictwa, powodujące spustoszenia. Kiedy to zauważono, na próbę zaludniono wody w kilku miejscach krokodylami — i wszędzie piżmaki znikły. Przeniesiono krokodyle gdzieindziej — znowu wróciły. Jedne drugich nie znoszą widocznie a silniejszy tępi słabszego. I oto powód rozporządzenia, zakazującego tępienia aligatorów i krokodyli.

Wiek żółwia liczą nie na lata, ale na wieki. Oto świeży dowód długowieczności i szczególnych peregrynacyj żółwia. Paryska *Autorité* podaje wiadomość, że w południowych Pyreneach pewien ogrodnik schwytał w rzece Saint-Jean żółwia, na którego skorupie widniał następujący napis: „Żółw ten schwytany w r. 1698 przez Fernanda Gomez w rzece San Sebastian, przewieziony został następnie do Montauzas i stąd później wrzucony do rzeki Saint-Jean“.

Połów pereł w Saksonii, który się przez całe wieki utrzymywał i bardzo wysoko jako bogactwo krajowe Saksonii był cenionym, jest już dziś prawie zupełnie zarzuconym. Ostatni „królewski łowca pereł“ Maurycy Schmerler, w którego rodzinie urząd ten od r. 1621 się dziedziczył, zmarł niedawno, a ministerstwo spraw wewnętrznych nie myśli już nadal urzędu tego obsadzać.

Wodami, w których perły saskie łowiono, są wody białej Elstery, od miejscowości kąpielowej Elster aż do miasteczka Elsterberg i ośm dopływów Elstery na tej przestrzeni. W wodach tych trafiał się dawniej bardzo obficie małż o czarnych muszlach, w których znajdywano perły. W r. 1621 ogłoszono łowiectwo pereł za prawo książęce i wydobywano je pod dozorem umyślnie do tego ustanowionego łowcy. W r. 1888 zarzucono po raz pierwszy łowienie pereł. W następnym roku znowu je zarządzono, lecz znaleziono wszystego tylko 71 pereł, a między tymi 9 całkiem czystych, 25 zaś o blasku zamąconym, reszta uszkodzonych Wytwarzaniu pereł przez małże szkodzą mianowicie coraz liczniejsze fabryki przemysłowe, przyczyniające się do zanieczyszczania wody. Na znacznej przestrzeni znajdywano małże nieżywe, z których skorupy mogły być tylko do wyrobu perłowej macicy użyte. Tak to postępująca cywilizacya zmienia warunki natury.

Zaciekłość pszczół. We wsi Castelnau, w południowej Francyi, w pewnej fermie rój pszczół wybrał sobie mieszkanie w oknie i oparł swe komórki pomiędzy okiennicą i ramą. Przez trzy lata nie brano miodu z tego ula i ilość jego zarówno jak i wosku zebrała się bardzo znaczna. Nagle pewnego dnia po południu, gdy podczas wysokiej temperatury, spowodowanej palącymi promieniami słońca, cała ta ilość wosku i miodu zawaliła się i spadła na ziemię, wtedy rozwścieczone pszczoły rzuciły się całą masą na pasące się na dziedzińcu stado gąsiąt, które wskutek straszliwych ukłuć wkrótce padły nieżywe. Charakterystyczny szczegół, iż nie znaleziono u nich następnie śladu oczu. Lecz nie na tem koniec zemsty złośliwych owadów. Właścicielka fermy, pragnąca obronić gąsięta, została żądłami tak pokłutą, iż życiu jej czas jakiś zagrażało niebezpieczeństwo. Kury i kurczęta, ścigane przez pszczoły, rozbiegły się po całej okolicy i wiele z nich nie powróciło; inne znaleziono nieżywe. Świnia została również na śmierć zakłutą. Roznamiętnione walką pszczoły wtargnęły do obory i zaatakowały bydło. Kilka sztuk zdołało zerwać powrozy i uciec, gdy nakoniec nadbiegł właściciel fermy i jakkolwiek mocno skłuty, był w stanie odwiązać resztę krów, które natychmiast rozbiegły się po polach. Odszukano je dopiero następnego rana. Rój małych złośliwców. poczyniwszy tyle szkód, odleciał niewiadomo dokąd, poszukując zapewne nowego pomieszczenia.

Tajemnicza zbrodnia. W pewnem miasteczku rozeszła się pewnego pięknego poranka pogłoska o straszliwem morderstwie. Z ust do ust podawały sobie kumoszki wiadomość, że do domku Magdaleny Kawalcowej przyniosła kotka rączkę dziecięcą w pysku. Magdalena odebrała kotce *corpus delicti* i zaniosła je do sąsiadki. Włosy powstały im na głowie. Kto popełnił dzieciobójstwo? Skąd kocina przywlokła ten krwawy dowód zbrodni?

— Ja wam mówię, że to nie kto inny, tylko Franka od Michała Mańkuta -- mówiła sąsiadka. Ona już dawno między ludźmi się nie pokazuje, a wiem, że wypytywała baby o „sawinę“. Latało to ciągiem po muzykach, hulało z żołnierzami, ha, no, musiało się tak skończyć...

— Ciewy! A to dopiero spadnie bieda na Mańkuta! — zawołała Magdalena. — A ktoby się był tego spodziewał!

— Ha, no, tak zawsze bywa, jak się dzieci nie pilnuje! — rzekła sentencyonalnie sąsiadka. Jeno to nie wygląda coś na katolicką rączkę — dodała, oglądając bliżej *corpus delicti* — może to żydowskie? A w takim razie to nie czyje inne, tylko grubej Gitli.

I tak z ust do ust podawano sobie wieść okropną i co chwila kogo innego podejrzywano.

Aż nareszcie doszła ta wiadomość do samego pana naczelnika gminy. Ten nie mógł już rzeczy przepuścić bez dochodzenia. Wziąwszy więc pisarza i policyanta z kopystką przez ramię, udał się do Magdaleny dla zbadania stanu rzeczy,

W istocie znaleziono u niej rączkę dziecinną, ale uznano, że nie pochodzi od noworodka, tylko jest lewą rączką dziecka cztero- lub pięciomiesięcznego. Spisano też na miejscu protokół, zapieczętowano *corpus delicti*, dano znać do żandarmeryi i rozpoczęto jak najściślejsze poszukiwania.

Zaledwo pan naczelnik wrócił do kancelaryi gminnej, wpada drugi policyant zadyszany.

— Wielmożny panie naczelniku! — woła — przed chałupą starej Majchrowej żrą się psy aż o sześć takich rączek! Mówią ludziska, że ta czarownica kiełbasy z dzieci porobiła!

Przerażony pan naczelnik chwyta czapkę i bieży na miejsce czynu. W istocie zgroza niesłychana. Nie sześć ale siedm rączek wydarto jeszcze psom z pyska. Cała rzeź niewiniątek!

Wchodzą do starej Majchrowej, a ona warzy coś na kominie.

I cóż to było? Dwa borsuki, które jej pasierb, leśny z sąsiedniego lasu, obielone przyniósł do chaty, a ona, jako doświadczona lekarka, poobcinawszy borsukom łapki i głowy, jednego wytapiała na „sadło borsucze“, które jest wyborne „na duszność“, a pije się go z ciepłem mlekiem — drugiego zaś wędziła w kominie.

Pan naczelnik, sprawdziwszy to wszystko, podarł protokół, opieczętowane *corpus delicti* wyrzucił za okno, policyantów nabeszta co się wlazło, a babom zagroził, że jak będą plotki robiły, to je będzie do kozy zamykał.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.